

HISTORIA CHŁOPÓW POLSKICH

Na półkach księgarskich ukazał się właśnie tom II liczący 509 stron druku *Historji Chłopów polskich* Aleksandra Świętochowskiego. Sędziwy autor dokonał olbrzymiego dzieła dając w swojej historii bardzo rozległy i głęboki obraz tego „jak górne warstwy społeczeństwa zachowywały się względem upośledzonej i skrzywdzonej dolnej oraz jak ta dolna posuwała się na wyższy poziom gospodarczy”. Praca to ogromna, oparta na sumiennej i rzeczowej bibliografii, sprawiedliwa a przedewszystkiem oryginalna w poglądach historycznych. Zanim to istotnie wartościowe i wspaniałe dzieło doczeka się zasadniczego omówienia pozwalamy sobie zacytować kilka ustępów z rozdziału ostatniego, który stanowi niejako syntezę dzieła.

Red.

Niedola chłopów polskich w Polsce niepodległej nie była wynikiem okrucieństwa szlachty, które w innych krajach objawiało się w prawach i czynach barbarzyńskich, ale jej niedołęstwa i ubóstwa gospodarczego. Tylko szlachcic mógł być właścicielem ziemi i tylko on — w ogromnej większości — wcale się nią nie zajmował.

Pochłaniały go całkowicie sprawy publiczne, zjazdy, sejmiki, sejmy, walki, spory, intrzygi, z którymi naturalną koleją wiązać się musiało życie próżniacze, hulawcze, marnotrawne, zawichrzane, które nietylko wyjaśniało jego umysł i psuło charakter, ale zubożało go materialnie.

Ani wykształcenia zawodowego, ani praktyki nie przechodził, o gospodarstwie rolnem nie miał pojęcia; o jego wyzyskiwaniu i ulepszeniu środkami technicznymi nie myślał; zdał je całkowicie na pracowników, zastępców i wyręczyli, ludzi ciemnych, surowych, samolubnych, którzy mieli mu dostarczać pieniądze na życie zbytkowne i bezczynne, a którzy potrzebnej ich ilości z ziemi i pracy poddanej wydobyć dla niego nie mogli, bo nie umieli, gdyby nawet chcieli.

Wyjątek stanowiły tylko olbrzymie dobra magnackie, które pomimo złej gospodarki mogły zapewnić „królowi” wielkie sumy środków na najzbytłowniejsze życie i w których też położenie poddanych było względnie najlepsze.

Poza niemi mała i średnia własność ziemską z trudnością i najczęściej daremnie usiłowały pokrywać odpływ przypiływem. Jedyny ratunek był w powiększeniu pracy pańszczyźnianej.

Szlachta sama i jej oficjałsi pragnąc dogodzić panom i sobie, przysięgała coraz mocniej chłopów, ażeby z nich wycisnąć potrzebne dochody, a nieuniknionym skutkiem tego uciemiężenia i wyzysku był niedostatek panów i nędza poddanych.

Mogło się to odbywać z tem większą samowolą i bezkarnością, że Polska nie stanowiła ściśle zorganizowanego państwa, rządzonego przez ustawy ogólne, lecz tworzyła rzeszę państewek szlacheckich, w których właściciel ziemi rzeczywiście był „małym monarchą” (*parvus monarcha*), samowładnym i niezależnym od praw powszechnie obowiązujących. To też zupełnie naturalnym był opór złych gospodarzów przeciwko wyzwoleniu chłopów, to jest przeciwko utracie sił roboczych, które stanowiły główną podstawę ich istnienia.

Ile razy warunki wskazywały a postępowe głosy pobudzały do reformy, przed oczami szlachty otwierała się przepaść ruiny, w którą mieli stracić się samobójczo.

Stąd niezliczone konstytucje o ściąganiu zbiegłych poddanych, stąd skąpe ustępstwa dla „żywcicieli narodu” w ustawie 3 maja, zapewniające im jedynie „opiekę prawa”, stąd powstrzymywanie chłopów od udziału w powstaniu Kościuszkowskim, stąd uduszenie sprawy włościańskiej na sejmie 1831 r., stąd przewlekłe i wykrętne rozprawy o oczyszczaniu, stąd cała literatura upiększająca i usprawiedliwiająca ów konserwatyzm szlachecki. Dzięki temu zaszły w naszych dziejach wypadki, które pozostawiły po sobie wstyd, żal i smutne następstwa: wszystkie dobrodziejstwa chłopci otrzymali z rąk obcych.

Wolność osobistą dał im Napoleon, ziemię i prawa obywatelskie monarchowie pruski, austriacki i rosyjski. Rządy polskie dawały im tylko niespełnione obietnice i to wtedy jedynie, kiedy naród znajdował się w niebezpieczeństwie.

Szlachta, która nawet w Polsce podległej zachowała długo wpływ na kształtowanie się stosunków społecznych, nie wyzyskała go i oporem albo długim wahaniem się pozwoliła obcym rządom odebrać jej zasługę wyzwolenia i uwłaszczenia włościan, przez co straciła ich życzliwość, którą oni zaofiarowali zaborcom¹⁾. Z tego rozbratu i przeniesienia uczuć wdzięczności ludu wójskiego na obce i wrogi rządy zrodziły się następstwa wielkiej wagi ujemnej.

Chłop nietylko odgrodził się nieufnością i nienawiścią od szlachty, nie tylko stracił korzyści moralne z jej opieki i przewodnictwa, ale wynaturzył się narodowo, nie rozwinął w sobie obywatelskości i patriotyzmu, nie brał chętnie udziału w ruchach, zmierzających do odzyskania niepodległości politycznej, a nawet im się przeciwstawiał.

W tem odosobnieniu i walce znieprawił swój charakter.

Poza nielicznymi stosunkowo wyjątkami wszedł w typowej postaci do Polski niepodległej — nieoświecony, nie uspołeczniony i niemoralny.

Zdobywszy dużą ilość mandatów poselskich, wyzyskał je głównie na zagrabienie bez skrupułu i nasyce nie korzyści osobistych i stanowych. Na potrzeby narodu pozostał skąpym lub zupełnie obojętnym.

Ciemnota umysłowa i polityczna nie pozwoliła mu rozwinąć w sobie zdolności państwowo-twórczej. Bardziej jeszcze niż rozumowo jest nierozwinięty uczuciowo. Nie wzrusza się pod wpływem najsilniejszych podniecień, nie oburza się i nie zachwyca, niema wstydu i ambicji, nie używa nawet odpowiednich tym nastrojom wyrazów.

Największa zbrodnia nie wywołuje w nim zgromy, najwspanialszy czyn — uwielbienia, najpiękniejszy wi-

¹⁾ L. Chodźko — między wieloma innymi (w dziele *Les nobles et les paysans*, Paryż 1846) opowiada o usiłowaniach szlachty i o przeszkodach ze strony trzech mocarstw rozbiorowych w wyzwoleniu chłopów. Nie wątpił usiłowania te i przeszkody były, ale nie w takiej mierze, w jakiej je przedstawia autor.

dok — podziwu. Bez żadnego zażenowania chodzi „na codzień” w łachmanach i rzadko zmywanym brudzie, nie utrzymuje swych mieszkań w porządku, nie czuje żadnej przykrości w przebywaniu razem ze zwierzętami. Odżywia się źle, przygotowywa jadło niechlujnie.

Uczucia przyjacielskie i rodzinne są w nim bardzo słabe i nietrwałe. Gdy mu rodzice oddadzą gospodarstwo i zastrzegą sobie dożywocie traktuje ich okrutnie jako nienawistny ciężar, którego pragnie się pozbyć skąpstwem, dokuczaniem a niekiedy morderem. Jeżeli zdobędzie się na hojność, to tylko najprostszą: da jałmużnę żebrakowi ale nie da ofiary społeczeństwu. — Przedewszystkiem zaś stara się je ograbić.

Własności publicznej nie rozumie i nie uznaje, a prywatnej cudzej nie szanuje. Chłopi nasi w ogromnej większości kradną, nietylko jako złodzieje z zawodu, co jest złem mniejszem, ale z przypadku i sposobności co jest złem wielkiem. Takich złodziei okolicznościowych są miliony, a społeczeństwo tak się oswoiło z tą hańbą i plagą, że uważa ją za normalny warunek życia, że występkę, które w krajach o wysokiej kulturze moralnej — Szwajcarii, Szwecji, Danji, Finlandji — wywołałyby powszechne oburzenie i uruchomiły ogół do ścigania winowajców, u nas przechodzą bez wrażenia, bez śledztwa, bez kary, pozostawiając po sobie jedynie ślad w protokołach policyjnych.

Wszystkie te cechy znamionują głównie chłopów z zaboru rosyjskiego, w znacznej części austriackiego a w najmniejszej mierze pruskiego.

Ci ostatni wyróżniają się dodatnio.

Wcześniej odcieci od związku z większą własnością ziemską, nie pozostając w jętrzącem do niej przeciwieństwie, nie żerując na niej jako szkodnicy, nierozmieszeni i nieupoważnieni do nadużyć pod osłoną serwitutów, niepobudzani do ciągłej walki a przytem oświeceni, zmuszeni i przyzwyczajeni do szanowania prawa, ustalili swój pokojowy sąsiedzki stosunek do obszarników, których uważają tylko za rolników bogatszych, ale nie za wrogów.

Ustrzegli się w tym stosunku od wszystkich złych wpływów nienawiści, nie zatruli nią swych charakterów weszli do wskrzeszonej Polski społecznie i ekonomicznie dojrzalsi umysłowo rozumniejsi, moralnie czystszy.

Chłopów z zaboru austriackiego zniżyła bieda, oszukawczy rząd sobkostwo obszarników i nieuczciwa demagogia przywódców. Ci weszli do rolni niepodległej jako wygłodzeni i chciwi zdobywcy nędzarze, jako nienasycony drapieżcy, ci gotowi do takiego pogromu panów ziemskich zapomocą prawa, jakiego dokonali przed 80 laty zapomocą bezprawia. Ten odłam ludu polskiego będzie może najoporniejszy do wtłoczenia swego życia w formy kultury, — zwłaszcza, że dotąd cierpi na głód ziemi i chleba.

Wszystkie różnice stapiają się w jednej właściwości, spajającej odmienne odłamy ludu: jest nią bardzo silna religijność. Nie jest ona ani rozumowo uzasadniona, ani uczuciowo głęboko wkorzeniona, utrzymuje się głównie przywiązaniem do zwyczaj-

jów i obrzędów kościelnych, ale posiada moc nałogu duchowego, który mechanicznie reguluje życie wieśniaków.

...Istnieją jednak w tej surowej masie chłopskiej wyjątki niezwyklej wartości, które pokazują, czemu ona mogłaby być, gdyby zdjąć z niej skorupę barbarzyństwa, poddać ją wpływowi oświecającym i umoralniającym, gdyby z ogromnych pokładów tej rudy wytopić, utrwalić i ukształtować pierwiastki szlachetne. A jest ona w nie bardzo bogata.

Chłop polski jest z natury zdolny, chciwy wiedzy, łagodny i poczciwy. Takim, jakim jest, zrobiła go długoletnia poniewierka, upośledzenie, zaniedbanie, bieda i tresura zaborów. Ile razy oświeci i oczyści z miazmatów swoją duszę, gdy się uspołecznili, gdy rozszerzy swój widnokrąg umysłowy, gdy nabierze smaku uczciwości, jest człowiekiem mądrym, obywatelom czynnym, patriotą szczerym i gorącym.

Jakaż to wspaniała postać ów polski chłop w Brazylii, który usłyszałszy o niebezpieczeństwie ojczyzny, porzuca swoją plantację bananów i przylepia na ścianie opuszczonego domu taką kartkę napisaną dużemi niezgrabnemi głoskami. „Nazywam się Stanisław Klyk, Polak, kolonista z Gór Morskich. Wczoraj dowiedziałem się, że Moskałe chcą nam znowu Polskę zabrać, więc zostawiam też moją kolonję na opiece Boskiej i idę do Warszawy. Dnia 4 września 1920 roku”¹⁾. I nikt nawet nie wie, czy się dostał do kraju i gdzie się podział.

Ma on silne poczucie prawa, zamiłowanie ładu i organizacji, jest może najbardziej państwowym żywiołem w narodzie. Wyobraźnia nasza upaja się rozkoszą, a jednocześnie przejmując się smutkiem na myśl, czemu byłaby dziś Polska, gdyby jej lud przeszedł długą drogę rozwoju pod umiejętną i troskliwą opieką rządów i sfer produkujących w narodzie! Na nieszczęście ma on dotąd więcej uwodzicieli, wyzyskiwaczyw jego ciemnoty i łatwowierności, więcej herztów band podnieconych demagogów, prowadzących go na łupieżcze wyprawy, niż rozumnych, uczciwych i dzielnych przewodników...

Państwo polskie w odniesieniu do ludu wiejskiego ma jeszcze przed sobą owołazki wielkie, zadania trudne i pracę długą. Chłop wywiera dotąd wpływ na państwo, wyłącznie tylko swoją masą — nie doświadczeniem, nie wiedzą, nie rozumieniem potrzeb, sił i celów narodu.

Ta masa, oddziaływująca samą ilością, zmusza społeczeństwo do ulegania jej i liczenia się z jej wolą, ale to mu nie wystarcza a nawet nieraz szkodzi, jak każda potęga ślepa przez oszukańcza lub burzycielską demagogię nadużywana.

W naszym sejmie zapadają nieraz uchwały, w naszej polityce objawiają się dążenia uzasadnione tem tylko, że tego żąda ogromny tłum, któremu oprzeć się nie można i niebezpiecznie. Otóż trzeba, ażeby ten tłum oświecił się, ażeby z jego dusz zdjęte zostały grube mroki, ażeby miał świadomość i własną wolę, niezależną od pokuszeń i poduszczeń uwodzicieli.

¹⁾ M. Lepecki, *W krainie jaguarów*, Warszawa 1927, s. 115.

W przededniu wielkiej wyprawy włoskiej do bieguna północnego

Jak wiadomo, generał włoski, Nobile, przygotowuje wielką wyprawę na Biegun Północny.

Biegun ten posiada w sobie jakąś iscie magnetyczną i przyciągającą moc. Ileż to już było wypraw do niego — ilu ludzi zginęło!

Ostatnią taką wyprawę odbył **Ronald Amundsen**. Dla wykazania jakiej to nadludzkiej energii i siły woli potrzeba do tego rodzaju ekspedycji i, dla podkreślenia walorów projektowanej wyprawy generała Nobile, (który zresztą brał w niej udział z Amundsenem, jako pułkownik) ekspedycji, która stała się obecnie we Włoszech popularną w najwyższym stopniu i, stanowi ambicję narodową — podajemy w najważniejszych skrótach opis wyprawy Amundsen, pisany przez niego.

Wyjazd

Pożegnawszy hangar w Zatoce Królewskiej, zaczęliśmy swą wyprawę.

Motory „Norge” puszczono w ruch o godzinie w pół do pierwszej i sunęliśmy wzdłuż brzegów zachodnich Spitzbergu. Siedem wspinających lodowców i gór śnieżnych błyszczało w słońcu. Szybko przebyliśmy wyspę Duńczyków oraz Amsterdamską. Za pomocą kompasu słonecznego kierowaliśmy się ku Biegunowi Północnemu. Skoro tylko opuściliśmy zatokę, każdy z załogi na statku zaczął wykonywać swą służbę. Dziś, wspominając jak wąską była nasza łódeczka, zdziwimy się nie mało, jak można było działać w tej ciasnocie. Na ścianach narzędzia do kierowania naszym statkiem, motory, zastawki gazu i stery, w pośrodku Rijser-Larsen, oficer naczelny, stał pochylony nad mapą, wskazującą zarysy sfer nieznanych.

Zarysy te zostały określone bardzo dokładnie i były użyteczne, kiedy mgła nie pozwalała nam używać kompasu słonecznego. Aparat radiotelegraficzny znajdował się również w naszej łódce, obok zaś Malmgreen, miał do swej dyspozycji deszczułkę, na której powinien był zapisywać notatki meteorologiczne na podstawie informacji radiotelegraficznych.

Dwaj radiotelegrafici **Gottwaldt** i **Storm-Johnson** mieli powierzona sobie bardzo ciężką misję udzielania wszelkich informacji meteorologicznych, kontrolę biegu statku, telegramy prasowe, które nadchodziły i odchodziły. Nie można zapomnieć również o **Titinie**, naszej succe rasy terrier; była to mascotta pułkownika Nobile, jedyna przedstawicielka płci żeńskiej na statku. Były tu wreszcie nasze prowianty, biskwopty, 33 butelki thermos, nasze ubranie i drobiazgi nieodzowne w tej naszej zuchwałej podróży powietrznej.

Ponad światem z kryształu

Po chwili, patrząc w dół, ujrzeliśmy lody biegunowe. Lekkie chmurki rozwały się, niebo było błękitne, a lody iskrzyły się jak pryzmaty; był to wspaniały widok. Wierzchołki Spitzbergu zniknęły z horyzontu i otaczała nas tylko niezmierzona płaszczyzna lodowata. Załoga cała, choć pamiętała o wynikach wyprawy z r. 1925, wysilała wzrok z upragnieniem, w poszukiwaniu ziemi. Niezmierzone lodowiska wywierały to samo wrażenie co w roku ubiegłym; była to powierzchnia rozbita na drobne części, wąskie, pokrzywione kanały w rozmaitych kierunkach i prawie wszystkie jakby pokryte cienką warstwą lodu.

Łódź nasz na statku „Norge” odtwarza się teraz przed naszym wzrokiem jako cudowna podróż w błękitach nieba, ponad światem z kryształu,

błyszczącym w promieniach słońca, na statku powietrznym, który leciał 70 kilometrów na godzinę. Motory działały z dokładnością zegarów. Słońce grzało nas dostatecznie, na przekór temperaturze, a ciepło wewnętrzne czerpaliliśmy ze szczodrych koszyczków, napełnionych jajami, mięsem, pasztecikami, sucharkami, jakie nam przygotowali nasi przyjaciele z Zatoki Królewskiej. Nie mieliśmy potrzeby uciekać się do konserw w puszkach i do mleka sproszonego.

W ten sposób odbyliśmy większą część podróży pomiędzy Zatoką Królewską, na wysokości 400 do 500 metrów. Ukazywały się coraz częściej stada białych niedźwiedzi i wspaniałych psów morskich. Nieco dalej jednak nie spostrzegaliśmy już żadnego śladu życia zwierzęcego; mroczny cień naszego statku był jedynym objawem życia, poruszającym się na lodzie. Gdy znaleźliśmy się na 87° 45 szerokości, zwolniliśmy bieg, by w ten sposób zaznaczyć uroczysty obchód lotu z r. 1925. Właśnie bowiem na tej szerokości nasze hydroplany musiały wylądować. Dla **Rijser-Larsena**, dla **Omala** i dla mnie był to moment solenny, przypomnienie, że ta niezmierzona przestrzeń lodowata, przez 25 dni była dla nas całym naszym światem. Na 88° równoleżniku znaleźliśmy się w gęstej mgłę, tak iż musieliśmy wznieść się na 600 a później na 1000 metrów, by z niej ułknąć. Mgła falowała pod nami jakby ocean z waty.

Była to w biegu naszym nieznosna przeszkoda i powstał problemat, czy będziemy zmuszeni przebyć Biegun Północny i lecieć dalej do krain nieznanych z drugiej strony gęstej mgły? Zdawało się to koniecznością. Przez dwie godziny lecieliśmy bezustannie nad otchłanią mgły nieprzejrzanej, lecz telegram radiowy w Stawanger w Norwegii przyniósł nam zapowiedź wiatru pomyślnego, oczyszczającego powietrze w dalszym naszym locie ku północy. Od czasu do czasu otwierały się jasne szczeliny w tem morzu tumanów, które pozwalały nam stwierdzić, że pod nami nie ma żadnego ładu.

Przejście przez biegun

Coraz bardziej zbliżaliśmy się do bieguna i ku naszej radości, blisko bieguna słońce mgłę zwyciężyło. Około godziny pierwszej rano dn. 12 maja, mieliśmy biegun prawie na ręku, i wzrok nasz rozciągał się i wielkie ogarniał dziedziny w najdalszej północy świata.

Mgła była nad wyraz przykra, gdyż towarzyszyło jej powietrze mroźne i przejmujące. Musieliśmy włożyć buty napełnione specjalną trawą, nie dopuszczającą do przemarznięcia nóg. Bądź co bądź wszyscy mniej lub więcej cierpieli. Ponad wszystko dokuczliwe było manewrowanie przyrządami naukowymi, przy pomocy gołych rąk.

Obserwacje, dokonane podczas lotu, pod kontrolą radiotelegraficzną stacji w Zatoce Królewskiej, obliczenia dokonane za pomocą kompasu słonecznego pozwalają nam twierdzić, żeśmy dotarli do bieguna o godz. 1.30 rano, dn. 12 maja. A więc lecieliśmy z zupełnym powodzeniem od południka Zatoki Królewskiej aż do samego Bieguna.

Zaraz też spuściliśmy się, lecz nie poniżej 100 metrów. Stwierdziliśmy, że lody Bieguna mają te same cechy charakterystyczne, jakie obserwowaliśmy przedtem. Żadnego znaku życia zwierzęcego. Dokąd tylko oko mogło sięgnąć, nic innego nie było widać, ieno niezmierzone, bezgraniczne pola lodowe o powierzchni

nierównej, przerywanej licznymi szparami a wszystko błyszczy od słońca nójnocy.

W ten sposób przebył „Norge” wspaniale pierwszą część śmiałej nieustraszonej imprezy. Zwolniliśmy bieg statku, otworzyliśmy jedno okno łódeczki, aby uroczystość uczcić chwilę której oczekiwaliśmy i do której gotowaliśmy się z takim umiłowaniem. Załoga odkryła głowy i Amundsen rzucił ze statku chorągiew norweską. Dar króla Norwegii, dla naszej wyprawy.

Ellsworth rzucił następnie chorągiew „Gwiazdźdźistą” ofiarowaną przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych, pułkownik zaś **Nobile** na koniec spuścił w przestrzeń sztandar włoski. Różnokolorowe te sztandary zsuwały się powoli w świetlanym powietrzu, a ich drążki utkwily w lodzie mocno i trwale. Mamyż potrzebę dodawać co odczuliśmy wszyscy z załogi, zobaczywszy wszystkie 3 chorągwie, powiewające na wiecznych lodach pod naszym statkiem?

Czytelnicy łatwo to pojmą i odgadną.

W pasie niezbadanym

Z szybkością zmniejszoną „Norge” okrążył Biegun Północny, a następnie lecieliśmy dalej całą siłą motoru. Wszyscy wzięli się do pracy. „Norge” leciał teraz ku południowi, pierwszy raz od chwili wyjazdu. Przód statku zwrócony do cyplu Barrow. Dotychczas przelatywaliśmy po znanych ludzkości okolicach, teraz rozciągała się przed nami obszerna kraina świata jeszcze nie zbadana. Podróż trwała nadal bez zmiany.

Zawsze ten sam lód pod słońcem bez chmur, coby zasłaniały świat widzialny. Radio działało prawidłowo; przybywały do nas biuletyny meteorologiczne, my zaś wysyłałyśmy nasze telegramy prasowe, aby zawiadomić świat cały o ceremonii spuszczenia chorągwi i o pierwszych naszych wrażeniach. Zaczęliśmy wierzyć, że ta zuchwała wyprawa zakończy się szczęśliwie, jak się rozpoczęła.

Niestety, prędko nastąpiło rozczarowanie. Atmosfera była spokojna, bez wiatrów przeciwnych, szybkość zawsze do 70 kilometrów na godzinę. Ludzie z załogi, którzy od chwili wyjazdu z Zatoki Królewskiej nie odpoczywali ani jednej chwili, spróbowali cokolwiek zasnąć w workach z futra renifera. Lecz było to niemożliwe z powodu zimna i huku motorów.

Dotarliśmy do Bieguna Lodowców o godz. 7, dn. 12 maja. I naraz odsłonił się przed nami nowy punkt niedostępny. Przekonaliśmy się zaraz, patrząc w dół, że byłoby rzeczą niemożliwą, lub co najmniej nadzwyczaj trudną dotrzeć tam inną drogą, niż powietrzem. Nie było widać żadnego kanału a powierzchnia lodu była przez raźliwie wzburzona. Zdawało się, że tu jakieś olbrzymie staczały walkę ze sobą, używając za oręż bryły lodu. Najśmielsi nawet z pomiędzy nas czuli się szczęśliwi, że nie byliśmy zmuszeni torować sobie drogi pieszej w tym wzburzonym okręgu lodowisk.

Na połowie drogi, między Zatoką Królewską a cyplem Barrow, stwierdziliśmy, iż, z sześciu i pół tonn gazu, który zabraliśmy ze sobą, zużytkowaliśmy już 4 i pół tonny i znaleźliśmy się naraz otoczeni mgłą niezmiernie gęstą.

Od tej chwili zaczął się okres naprężenia i niepokoju, który trwał aż do chwili, gdy nasz samolot przybył do Teller. O śnie mowy być nie mogło. Zaczęły się nasze troski. Znaleźliśmy się w nieprzebranych sferach mgły na wysokości 330 metrów. Tak jak wprzód próbowaliśmy wznieść

się ponad tumany i zdołaliśmy ujrzeć ponownie cień statku, odbity w kolorach tęczy na powierzchni oceanu mgły. Jaka szkoda, że nie mogliśmy podziwiać tego czarownego widoku.

Położenie nasze było zbyt niebezpieczne, a chwilami zdawało się wprost bez wyjścia. Po pewnym czasie radio zaczęło nas trapić. **Ramm** był zrozpaczony, że nie może wysyłać depesz. **Malmgreen** był niepocieszony, że nie może otrzymywać biuletynów meteorologicznych, teraz potrzebniejszych niż kiedykolwiek.

Nie mogliśmy również kontrolować naszego biegu, co w tej chwili było nadzwyczaj ważne. Nieprawidłowość w działaniu radja pochodziła częściowo z zaburzeń elektrycznych atmosfery, częściowo zaś wskutek skorupy lodowej, która się utworzyła na drutach belki długości 15 metrów, znajdującej się pod łódeczką. O ile odległość od Spitzbergu powiększała się, sygnały stały coraz bardziej; siła ich docierania była dostateczna na przestrzeń 1000 mil; teraz jednak całe urządzenie radiotelegraficzne zostało sparaliżowane.

Ostatni biuletyn z Alaski wskazywał cyklon, szalejący na morzu Beringa. Staraliśmy się połączyć z jakąś stacją w Alasce, lecz na próżno; nasze wezwania pozostały bez odpowiedzi. Dowiedzieliśmy się później, że wszystkie większe stacje Alaski starały się z nami skomunikować.

Wysiłki nasze, by lód usunąć z aparatu, nie osiągały celu. Pomimo to lot trwał dalej; a mgła coraz gęstsza zmusiła nas do wzniesienia się do wysokości 830 mtr. Chwilami małe szczeliny w olbrzymiej zasłonie z tumanów, pozwoliły nam się przekonać, że pod nami żadnego ładu nie było. Lód, lód, tylko zawsze niezmienne bezbrzeżne morze lodu.

Bojaźliwe ataki

W ciągu dnia nasze klęski rosły z godziny na godzinę. Chmury gęste pokrywały całkowicie niebo, nie dopuszczając żadnych obserwacji astronomicznych. Jedynie kompas magnetyczny pozwalał nam na orientację lotu.

Ku wieczorowi jeszcze bardziej się pogorszyło.

Spuściliśmy się cokolwiek i znaleźliśmy się w tumanie zamieci śnieżnej. Natychmiast wzniesiliśmy się ponownie, lecz statek nasz tak był obciążony lodem, iż na żądanie pułk. **Nobile**, **Malmgreen** dokonał obserwacji nad skorupą lodową, by oznaczyć na jakiej wysokości lepiej nam będzie dalej się posuwać. Stosownie do tego mieliśmy określić nasze ruchy.

W pewnej chwili próbowaliśmy wznieść się ponad chmury; lecz to nam zawiele gazu pochłaniało. Jeszcze bardziej niebezpieczną od utraty gazu stawała się skorupa lodowa, która ciągle rosła na motorach i na śmidze. Kulki lodu padały jak strzały na powłokę statku i dziurawiły ją powoli.

Każdy z nas zdawał sobie sprawę, że położenie nasze było z każdą chwilą krytyczniejsze i nasze zuchwałe przedsięwzięcie doszło do stanu, graniczącego z klęską. Kiedy zaczęło się ostrzeliwanie kawałków lodu, znajdowaliśmy się o 200 mil od brzegów Alaski.

Do tej chwili lód służył nam do badań naukowych, teraz jednak stawał się bardziej interesujący, gdyż groziło nam możliwością niezbyt przyjemnego spaceru pieszego, by dotrzeć do brzegów Alaski, o ileby dziury na powierzchni statku coraz liczniejsze, zmusiły nas do lądowania.

Tutaj wchodzi na scenę Titina pułkow. Nobile. Dotąd spała ona snem sprawiedliwych, czy też wiernych, w worku futrzanym swego pana. Naraz zbudziła się i była coraz bardziej nerwowa. W chwili najkrytyczniejszej wyskoczyła z worka, wołając żałośliwie. Wzywała ratunku.

Była również niemała obawa, że upadające kawałki lodu rozerwą śmigła, lecz śmigła wytrzymała to bombardowanie. Nad wyraz niepokojące stało się uderzanie kawałków lodu o powierzchnię statku. Cała załoga, porzuciwszy wszelką inną pracę, zabrała się do łatania otworów, spowodowanych przez te uderzenia. Jeden z tych otworów był tak wielki, iż musiał być tak zwolnienia lotu, by umożliwić jego załatwienie. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy kolejno jeden z motorów, aby go uwolnić z lodu, który na nim się zgromadził. W ten sposób zdążaliśmy do cyplu Barrow.

Dnia 13 maja niektóre znaki wskazywały nam bliskość ziemi. Zauważyliśmy, że liczba kanałów na lodowcach powiększała się i że kanały te są coraz szersze, w porównaniu z temi, jakie widzieliśmy od chwili wyjazdu ze Spitzbergu. Nakoniec dostrzegliśmy morze wolne od lodów.

Ziemia na lewo od nas

O godz. 6 m. 50 Rijser-Larsen, po dłuższym badaniu horyzontu południowego przez lornetę, wykrzyknął: „Ziemia, ziemia!” W istocie wkrótce ukazało się nam morze wolne od lodów. Czarna linia, prawdopodobnie brzeg skalny, ukazujący się z poza śniegu, potwierdził jego odkrycie.

W 46 godzin 45 min. po opuszczeniu Zatoki Królewskiej, dotarliśmy do cyplu Barrow, na 71 stp. szerokości północnej. Możliwość podróży międzybiegunowych została wykazana. Pierwszy to raz w historii, czy ludzkie ujrzały sferę ziemi między Biegunem Północnym i cyplem Barrow. Przebyliśmy zatem ponad przypuszczalną ziemią Keenan na północ od Barrow, choć jej nie widzieliśmy zupełnie. Ci, którzy, jako sceptycy nie wierzyli w istnienie tej ziemi, mieli słuszną i możemy dzisiaj potwierdzić z całą pewnością, że w sferze, przez nas przebytej, niema żadnych wysp, ani lądów.

Niemniej jednak przestrzeń tę należy liczyć na 100.000 mil kwadratowych. Statek nasz był jeszcze daleko od swego punktu dojścia, od możliwie pewnego miejsca wylądowania. Silny wiatr powstał naraz, zanim moglibyśmy się dostać do brzegu; zresztą niewiele czasu mieliśmy, aby rozważyć prawdziwe położenie i różne możliwości atmosferyczne. Nobile zdecydował kierunek południowy, by starać się dotrzeć do Nome.

Cała tona lodu!

Musimy też powiedzieć, cośmy przeżyli w ostatnich 24 godzinach na szego lotu, gdyż był to najburzliwszy okres naszej podróży. Jakże groziło nam niebezpieczeństwo skutkiem sformowania się lodu na statku, można sobie wyobrazić choćby tylko z statku ważyła całą tonnę. Musieliśmy dowozić w Teller skorupa lodowa statku ważyła całą tonnę, musieliśmy ciągle na wszelki sposób starać się utrzymać równowagę statku, zagrożoną bezustannie przez tworzenie się lodu; usuwaliśmy puszki gazoliny, posyłaliśmy ludzi na tył statku, aby doprowadzić ciężar do równowagi. W tak tragicznych warunkach przybyliśmy do Nome. Nasz okręt powietrzny posuwał się wybrzeżem Alaski do cyplu Barrow ku Wainwright, zniżyliśmy lot o ile to było możliwe, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo upadku. Omdal mówił, iż zobaczył niektórych mieszkańców Wainwright, jak wybiegli z chat przeżeni hukami motorów. Wszyscy Eskimosi spieszyli na wybrzeże, by

oglądać statek, zdziwieni i zachwyceni. Wszystkie psy, przerażone hukami motorów, uciekały, wyjąc.

Skierowaliśmy się do cieśniny Beringa i wnet przekonaliśmy się, iż wieść, jakoby to była okolica mgły najgęstszej, nie jest bynajmniej przesadzona. Chmury stawały się coraz bardziej nieprzebyte i coraz trudniej było kierować naszym samolotem, tembardziej, iż śnieg zaciemnił linię wybrzeża. Naraz znaleźliśmy się jak by pod murem nieprzebytym. Choćbyśmy się wzniesli na 1000 metrów, mgła i chmury zasłaniały wszelki widok! Statek leciał dalej, z lekka zmieniając kierunek ku północy. Przylądka Lisbarne. Nakoniec rozwarła się cokolwiek ściana mgły i mieliśmy przelotne widokowo szczytów górskich, pagórków i płaszczyny.

Posiadaliśmy paliwa na więcej niż 24 godzin lotu. Tak minęła noc. Nazajutrz rano słońce zaświeciło wspaniale. Zaraz też staraliśmy się nawiązać komunikację radiotelegraficzną. Bezustannie wzywaliśmy stację Alaski, aby mieć dane, któreby nam pozwoliły upewnić się dokładnie co do naszej pozycji, lecz zawsze na próżno.

Wiatr się sroży

Ujrawszy na północ-wschód przestrzeń lodową, gdzie w ostatecznym razie mogliśmy wylądować, zwróciliśmy się w tę stronę. Zobaczyliśmy też po dłuższej chwili chaty eskimosów. Mieliśmy nadzieję dowiedzieć się od mieszkańców tych chat o nazwę miejscowości, wiatr jednak bardzo silny czynił niebezpiecznym zatrzymanie motorów. Lecieliśmy więc dalej, wznosząc się ponad mgłę. Z pomiarów dowiedzieliśmy się, że statek znajdował się na północ od kanału Kotzebue, wielkiej zatoki na wyspie Alasce, na północ od cieśniny Beringa. Podczas tego manewru wzniesiliśmy się na 1400 metrów, tymczasem zaś wiatr pchał nas ku ziemi w kierunku południowo-wschodnim.

W tej właśnie chwili, o cudzie, usłyszeliśmy radio z Nome, które wzywało inną stację. W ten sposób mogliśmy oznaczyć dokładnie naszą pozycję i skierować się ku Przylądkowi Księcia Walji, to jest ku cieśninie. Wiatr uspokoił się nieco, kiedy docieraliśmy do Przylądka, którego linie ostantia półwysp Sewerda. Lecz wiatr, choć chwilowo spokojniejszy, był jeszcze bardzo kapryśny i kazał nam trzymać się na znacznej wysokości, gdyż to zmniejszało jego siłę; siła ta rzucała statkiem w powietrze, jak piłka, na wszystkie strony, a ciągle te podskoki nadzwyczaj utrudniały kierowanie motorami. Nie spodzianie po południu 13, spostrzegliśmy lagunę, pokrytą lodem. Obok tej laguny gnieździła się mała wioska Teller. Łód laguny przedstawiał pole możliwe do wylądowania, więc zdecydowaliśmy się lądować.

Lądowanie

Zaczęliśmy więc przygotowywać się do lądowania. Przedewszystkiem spuściliśmy gruby worek, zawierający około 370 kilo ciężkich przedmiotów. Do worka tego były przyłączone dwie kotwice, specjalnie dostosowane do lodu. Wszystkie to połączone ze statkiem zapomocą kabla ze stali, i wtedy to stał się cud nieoczekiwany. Gwałtowność wiatru uśmierzyła się na chwil kilka; zniżyliśmy się około 100 metrów, opuszczając ciągle nasz worek; wiatr wzmógł się właśnie w tej chwili, pchając Norge ku wiosce. Wypuszczaliśmy gaz powoli, powoli. Łód był zbyt gładki, by kotwice mogły mocno uchwycić. Szczęście jednak tym razem było z nami. Spuściliśmy linę do lądowania, spływając i kierując się ku wiosce. Kiedy byliśmy już na możliwej odległości od gruntu, kilku ludzi z naszej załogi wyskoczyło z łódce. Przy pomocy mieszkańców z Teller

statek został przyciągnięty i zatrzymany o kilka metrów od chat Eskimosów. W ten sposób udało się nam wylądować bez szkody dla statku, dla załogi i dla naszych cennych przyrządów naukowych. Co za rozkoszne uczucie mieć naraz pod nogami grut twardy i stały.

Podróż trwała ściśle 71 godzin. Dotknęliśmy ziemi na kilka minut przed godziną ósmą, 14 maja. Szybkość wiatru zmieniła się o 5 do 13 minut na godzinę. Załoga nasza cierpiała straszne zimno, w ostatnim okresie lotu. Zamarzyli napoje w termosach, nasze suchary przemieniły się w kawałki kamienia. Zyliliśmy jedynie czekoladą i biszkoptami; nie używaliśmy żadnego ciepłego napoju, gdyż najmniejszy ogień lub płomień byłby nadzwyczaj niebezpieczny z powodu wodoru. Pierwszy nasz ciepły posiłek przyrządzili nam uprzejmi mieszkańcy Teller. A potem chcieliśmy spać, spać bez końca.

Nazajutrz zaczęło się rozbieranie „Norge”. Tylko małe uszkodzenia dały się zauważyć. Motory były nie naruszone, a także i zastawki. Wszystko to zostało umieszczone w składzie i będzie wywiezione z Teller, kiedy nastanie czas żeglugi letniej. Nasz program obecny był do Nome, do Nome!

Przedewszystkiem jednak zapisaliśmy niektóre naukowe wyniki naszej zuchwałej wyprawy. Przedwczesne byłoby podawać tu szczegó-

ły, nauka później określi. Dziś jednak możemy już z wszelką pewnością twierdzić, jako wniosek geograficzny, najważniejszy ze wszystkich, że pomiędzy Biegunem Północnym i cyplem Barrow żadnej ziemi nie ma.

Żadnej ziemi tam nie ma

Doktor Harold Swendrup wykazał już przez ekspedycję Maud, że nie istnieje żadna ziemia nieznana po między biegunem a wschodnią Syberją. W ten sposób została obalona tak nazwana teoria ziemi Harris.

Przeprowadzone obserwacje pozwalały przypuszczać istnienie wielkiej wyspy na północ od ziemi Wrangla. Wyspa taka nie istnieje. Ocean, pokryty grubą warstwą lodu, rozciąga się od Spitzbergu do Alaski.

Stwierdziliśmy, że jest niemożliwym założyć na statku powietrznym pracownię badawczą, która byłaby zdolna do zebrania danych meteorologicznych.

Zdaje się, że basen polarny nie przedstawia warunków meteorologicznych, dla lotu nowoczesnego statku powietrznego. Rzecz ta jest nader ważna dla projektu przyszłych linii statków powietrznych przez biegun Północny. W czasie swej wyprawy dokonaliśmy również licznych obserwacji powietrzno - elektrycznych w centrum oceanu Wielkiego.

Nowa ustawa patentowa

Rada Ministrów uchwaliła w marcu b. r. projekt Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej „O ochronie wynalazków, znaków, wzorów i t. p.”, który wkrótce zacznie obowiązywać w miejsce dawnej ustawy patentowej z dnia 3.II 1924 r.

Nowa ustawa opiera się na konwencji międzynarodowej przyjętej między innymi także przez Polskę dnia 6 listopada 1925, w Hadze. Projekt ustawy opracował Urząd Patentowy wraz z Komisją Kodyfikacyjną.

Pierwotny projekt dekretu spotkał się w poszczególnych ministerstwach z licznymi zastrzeżeniami, wskutek czego tuż przed konferencją przedstawicieli poszczególnych ministerstw, wydano drugie, skorygowane wydanie projektu.

Pomimo wielu uwzględnionych poprawek poszczególne ministerstwa wniosły dalsze zastrzeżenia. Tak np. Ministerstwo Spraw Wojskowych sprzeciwilo się kategorycznie zezwoleniu na nabywanie w Polsce nieruchomości przez wynalazców cudzoziemskich bez żadnych ograniczeń. Ponadto zastrzegło sobie ministerstwo prawo sprzeciwu w razie zgłoszenia do opatentowania wynalazków na przedmioty z zakresu wojskowego już używane w wojsku. Okazało się przytem, że nieuprawnione osoby usiłowały często uzyskać taki patent celem zdobycia monopolu w dostawach dla armii co przysparzało Skarbowi Państwa znaczną podwyżkę kosztów.

Dla ogółu wynalazców doniosła zmianę przeprowadziło Ministerstwo Pracy i Opieki społecznej, w tym kierunku, ażeby w wypadku, gdyby wynagrodzenie wynalazcy okazało się niewspółmierne w stosunku do zysku jaki wytwórca ciągnie z tego wynalazku, to umowa podlega rewizji na korzyść wynalazcy, w ten sposób, ażeby uzyskał on słuszne wynagrodzenie.

Zapewne wiele jeszcze innych momentów byłoby podniesionych, gdyby o zdanie zapytano fachowe organizacje, a więc zarówno przemysłowców jak i twórców. Brak ten może się dać odczuć w stosowaniu ustawy.

Ważną myślą przewodnią ustawy jest zasada przymusu wykonywania

wynalazku w Polsce, pod groźbą utraty patentu. Z wielkim trudem udało się naszej delegacji na konferencji międzynarodowej w Haadze obronić tę zasadę i utrzymać ją nadal w mocy. Przeciwnikami jej były państwa przemysłowo mocne, — mimo to poglądy polskiej delegacji, poparte przez państwa ekonomicznie słabsze, oraz niektóre mocarstwa, utrzymały się. Wobec tego polska ustawa żąda ażeby właściciel patentu rozpoczął najpóźniej po upływie lat trzech od udzielenia patentu produkcję w Polsce w rozmiarze pokrywającym co najmniej wewnętrzne zapotrzebowanie na opatentowany artykuł, a jeżeli sam tego nie wykonywa powinien ogłosić gotowość do udzielenia licencji.

Dla kontroli wykonywania tego zarządzenia projektowane jest utworzenie w Urzędzie Patentowym nowego wydziału, „kontroli wykonywania wynalazków”.

Oplaty za zgłoszenie patentu i za pierwszy rok trwania patentu nie zostały zmienione, podwyższono jednak opłaty za następne lata trwania patentu, zresztą dosyć skromnie.

Natomiast Prezes Urzędu Patentowego otrzymuje w ustawie bardzo szerokie upoważnienia do udzielania odroczenia opłaty za druk patentu na jeden rok, od dnia wydania patentu licząc, przyczem w razie nie uiszczenia należności po tym terminie opatentowanie gaśnie. Nadto Prezes Urzędu Patentowego może również udzielać zwłoki w uiszczeniu opłat rocznych za pierwsze trzy lata, a w razie nie uiszczenia czwartej opłaty patent gaśnie, a właściciel patentu jest zwolniony z obowiązku zapłacenia nieuiszczonych trzech rat poprzednich.

Inne postanowienia ustawy odpowiadają dotychczasowym z tą zmianą, że są ujęte szerzej i zawierają całą sumę doświadczeń poczynionych dotychczas przez nasz Urząd Patentowy.

Ustawa traktuje oddzielnie wynalazki, oddzielnie wzory i również oddzielnie znaki towarowe.

Objętość ustawy zwiększyła się przez to do 245 artykułów, za to zyskuje ona bardzo na jasności i wyrazistości.

LOT W ZAŚWIATY

Niezwykły projekt rakiety międzyplanetarnej — Narazie rakietka taka miałaby kursować między Europą i Ameryką

Skromny był sukces lotniczy braci Wright w grudniu roku 1903, gdy wykonali swój pierwszy wzlot, a raczej skok w powietrze, wynoszący niewiele metrów wysokości i 260 metrów długości. Mimo, że rezultat ten wydaje się nam dziś nikły, to jednak wywołał on w ówczesnym świecie niebywałą sensację, większą, aniżeli dalsze postępy w tej dziedzinie.

Obecne powodzenie lotnictwa w obrębie zamkniętej atmosfery ziemskiej już nie wystarcza dla twórczej ekspansji ludzkiego ducha, zaczyna mu być ciasno, duszno i nudno w obrębie tych granic w jakich natura do dziś nas trzyma — pragnie się więc wydobyć po za nie i pragnie fizycznie wlecieć w te sfery, które dotychczas nawiedzała tylko myśl, wzrok i fantazja.

Współczesny człowiek pragnie więc zdobyć przestworze i odwiedzić zaświaty, śni o ustaleniu normalnej i prawidłowej komunikacji a może i o wymianie dóbr duchowych no i towarów, przy użyciu środków pewnych i bezpiecznych, kursujących ze stuprocentową punktualnością.

Pomysł nie nowy, bo już genjusz Vernego skonstruował fantastyczny pocisk służący do podróży na księżyc, po nim i inni powieściopisarze przenosili swych bohaterów na różne planety, albo odwrotnie, kazali mieszkańcom tychże pojawiać się na ziemi.

W tych dziełach fantazji chodziło przede wszystkim o dobre przeprowadzenie założenia literackiego i nikt się nie martwił, czy opisywane sposoby podróży międzyplanetarnej mają jakkolwiek techniczną rację.

P. Maksymilian Valier wie o możliwości realnej podróży w zaświaty i gorąco propaguje tę myśl nie tylko w słowach, ale szuka też możliwości wydostania się poza sferę ziemi w odpowiednio zbudowanym aparacie.

Tu pomysły konstrukcyjne natrafiały na samą wstępną kwestję stosownego motoru. Obecnie używane typy uważa p. Valier za nie nadające się do podróży międzyplanetarnej ze względu na znaczny stosunkowo ich ciężar i niedostateczną wydajność siły. Pragnie je więc zastąpić swego pomysłu motorem „rakietowym”.

Wychodzi on z tego założenia, że samolot jak i statek poruszają się naprzód dzięki temu, że przy pomocy śmigła względnie śruby wyrzucają pewną masę po za siebie, a to nadaje im pęd naprzód. Natomiast jeżeli wystrzelimy pocisk z karabinu w próżni, albo w niej zapalimy rakietę, to mają one swój pęd nie dlatego, że wypierają poza siebie masę powietrza, gdyż w próżni jej nie ma, ale dzięki sile wybuchowej masy zamkniętej w urządzeniu. Stąd zaś wyciąga wynalazca wniosek, że w takim razie rakietka jest motorem, działającym dzięki wybuchowi zawartej w niej materji, i że pęd rakiety jest niezależny, nie wymaga obecności powietrza, może zatem poruszać się także w bardzo rozrzedzonej atmosferze względnie nawet w próżni, a więc poza ziemską atmosferą.

Sprawdzenie tych przesłanek przy pomocy formuł matematycznych nie zaprzeczyło im wcale, co więcej — przyniosło jeszcze dwa momenty przemawiające tu dodatnio. Mianowicie rakietka jako motor wchodzić może w rachubę tylko w tych okolicznościach, gdzie panują bardzo wielkie przyspieszenia ruchu, albo gdzie ma być utrzymana bardzo wysoka, jednorodna szybkość, niezmiennie daleka od tej do jakiej dochodzą motory dziś najszybsze.

Wystarczy powiedzieć, że p. Valier oblicza średnią szybkość lotu przy

pomocy motoru rakietowego na 4.000 do 10.000 kilometrów na godzinę, a nawet dochodzi do 43.000 km. na godzinę. Ta szybkość wystarczylaby na oderwanie się aparatu od atmosfery ziemskiej i wylecenie we wszechświat.

Teoretycznie jesteśmy więc już w przestworzu. Praktycznie trzymają nas jednak i nadal silnie ziemskie rzeczy, a przede wszystkim materia.

W motorze rakietowym należy zdaniem jego twórcy liczyć się z temperaturą obracającą się stale w wysokości około 2500 do 3000° i z ciśnieniem 25 do 30 atmosfer. Już samo napięcie tych czynników wymaga zastosowania konstrukcji i materiałów zupełnie wyjątkowych. Ustosunkowanie ciężaru motoru do efektywnej siły przez niego wytwarzanej musi również przejść w nową fazę, a autor projektu przewiduje konieczność użycia na jeden kg. wagi motoru 25 do 30 k. m. siły, co nie jest wygórowane, gdy zważymy, że działa dają w momencie wystrzału 150 a nawet więcej k. m. na 1 kg. wagi lufy armatniej.

Drugim zagadnieniem jest skombi-

nowanie stosownego materiału wybuchowego, któryby przy najmniejszym ciężarze własnym i objętości, dawał największą siłę pędu, zapewniał swobodne regulowanie zarówno częstotliwości jak i siły wybuchów, zaś dla samego motoru przedstawił w użyciu bezwzględne bezpieczeństwo.

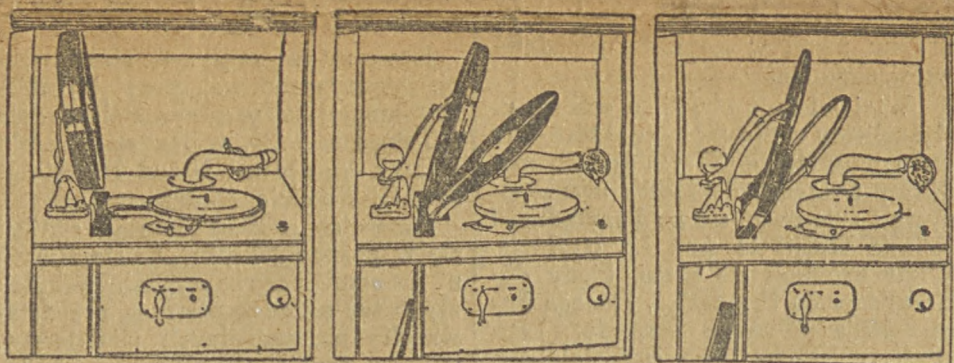
Autor pomysłu wierzy w szczęśliwe rozwiązanie wszystkich trudności przez doświadczenia i prace laboratoryjne. Dla zehrania dostatecznej ich sumy odstępuje on narazie od budowy w obecnej chwili swych dalekobieżnych międzyplanetarnych aparatów, a pragnie stworzyć przy pomocy aparatów rakietowych takie połączenie z Ameryką, ażeby całą przestrzeń z Europy do Ameryki, można było przebiec w ciągu kilku godzin.

Zamierzenia p. Valier są ambitne, ale utopijność ich jest tylko pozorna. Nie znaczy to, żeby podróż w zaświaty była kwestją tylko kilku lat, jednak z tego ogromnie odległego celu jaki sobie autor pomysłu postawił, jeżeli w jego podstawowym założeniu tkwi zdrowe ziarno zdolne do rozwoju, wyniknąć może nie jeden wynalazek nowy i pożyteczny.

Gramofon -- automat

W Nowym Yorku pojawił się niedawno w sprzedaży nowy typ gramofonu p. n. „Victrola”, który zainteresuje napewno zarówno miłośników tej rozrywki, jak wszystkich tych,

ciem guziczka mechanicznego zaczyna działać: „ręka automatyczna” spuszcza płytę na krążek obrotowy, igła przysuwa się sama i muzyka rozpoczyna się. Po skończeniu sztuczki i-



którzy zawodowo posilkują się gramofonem t. j. nauczycieli rytmiki i tańca. Nowość konstrukcji tego gramofonu polega na tem, że przy zmianie płyt nie wymaga on pomocy człowieka, gdyż wszystkie z tem związane czynności wykonuje automatycznie. Cały mechanizm jest poruszany za pomocą prądu. Tuzin płyt gramofonowych, stanowiących jakąś uwerturę, symfonię, komplet tańców czy pieśni umieszcza się na przeznaczony do tego podstawce. Za naciśnię-

ciem guziczka mechanicznego zaczyna działać: „ręka automatyczna” spuszcza płytę na krążek obrotowy, igła przysuwa się sama i muzyka rozpoczyna się. Po skończeniu sztuczki i-

gła usuwa się na stronę, zaś „ręka” zdejmując przegraną płytę, zsuwa ją do skrzynki, znajdującą się u dołu przyrządu i nakłada drugą z kolei. Po skończeniu całego kompletu płyt przyrząd automatycznie się zatrzymuje. Przerwa w muzyce, jakoteż zamiana danej płyty na następną może być zarządzona w każdym momencie za naciśnięciem odpowiedniego guziczka. Do gramofonu są używane specjalne, trwałe igły, mogące nagrywać dużą ilość płyt.

Dziwna choroba żarówek

Fizyk angielski Sir Oliver Lodge dzieli się na łamach pisma ang. „Nature” z czytelnikami wynikami swych badań co do przyczyn przepalania się żarówek metalowych.

Zjawisko to, polegające na całym szeregu procesów fizyko-chemicznych, zewnętrznie przejawia się w tem, że drucik w jednym miejscu staje się cieńszy w drugim zaś grubiejszy. Przyczyną tego zjawiska jest ta minimalna ilość wilgoci, jaka wewnątrz lampki zawsze się może znaleźć.

Jak wiadomo, miedź rozkłada się pod działaniem wysokiej temperatury na wodór i tlen, ten ostatni zaś utlenia wolfram znajdujący się w druciku na tlenek wolframu, podobnie jak

utlenia żelazo, innemi słowy tworzy „rdzę wolframową”, która osiada na chłodniejszych miejscach drucika.

Przybývające jednak atomy wodnego wodoru odtleniają tlenek wolframu kosztem tlenu, z którym tworzą nową cząstkę lub czątki wody, wolne zaś atomy wolframu pozostają na druciku w tem samym miejscu. Proces ten jest ciągły, t. j. niewielka nawet ilość cząsteczek wody może przenieść tą drogą wiele atomów metalu z jednego miejsca żarzącej nitki, które staje się przez to cieńsze, na drugie — które grubieje.

W miejscu cieńszym opór wciąż rośnie, drucik coraz silniej się rozżarza aż wreszcie przepala się.

em.

Giętkie szkło

Fantazja poetycka Żeromskiego może urzeczywistnić się

Genjalna fantazja St. Żeromskiego uzyskała ostatnio podstawy realne do urzeczywistnienia się. Pamiętamy wszyscy jego marzenie budowania całych domów ze szkła.

W ostatnich latach austriacy chemicy dr. Fryderyk Pollak i dr. Kurt Ripper otrzymali w swej pracowni organiczne szkło, bezbarwne, zupełnie przezroczyste kolloid, który zastąpić może szkło.

To kolloidalne szkło nazywa się „pollopas”.

Jest ono syntezą emidowęgłanu i formaldehydu, materiałem zrazu kleistym, następnie żelatynowatym, z tą niezwykłą własnością, że po stężeniu jest już w wodzie nierozpuszczalny.

Zalety pollopasu są następujące: przejrzysty i bezbarwny, da się on wytwarzać w dowolnie wielkich kawałkach, bez błędów w jednolitości swej pod względem przepuszczalności światła i wyrazu zabarwienia; jest podatny do urabiania we wszelkie formy, daje się z łatwością walcować, obrabiać na tokarni, szlifować, trawić kwasami i zabarwiać organicznymi barwnikami.

Pollopas, wytrzymuje ciepłotę do 280°C, w wyższej temperaturze zwęglą się, jest doskonale odporny na działanie kwasów i alkaliów. Posiada ciężar gatunkowy 0,8, czyli, jest lżejszy prawie o połowę ciężaru gatunkowego od szkła sodowego.

Dla tych zalet pollopas może być najodpowiedniejszym materiałem do krycia dachów leczniczo dla chorych gruźliczych, jak i wogóle wszelkich budynków mieszkaniowych wysokogórskich.

Z tej samej zaś racji i jako pokrycie dachów wszelkich cieplarni i inspektów, przepuszczalnością swą światła stwarza wprost rewolucję w produktywności i zyskowności wszelkich zakładów ogrodniczych.

Najwyższą jednak zaletą pollopasu, są jego cudowne wprost właściwości, o których ludzkość na próżno dotąd marzyła. Oto o wiele mniejszą łatwością łuczenia się i pęknięcia, przy niepomiernej elastyczności — zwyciężyć musi pollopas jako najidealniejszy materiał do sporządzania: automobilowych szyb ochronnych, okularów, podróżnych skrzyneczek na apteczki, toaletki i t. p., przez których ściany zawsze widzieć będzie można, gdzie co leży, i czy się czegoś w pośpiechu zabrać nie zapomnieli; wreszcie jako przezroczysta oprawka piór do napełniania, jako trwałe szkło do zegarków, wszelkiego rodzaju przedmioty ozdobne i t. p. i t. d. Jednem słowem pollopas zwycięży wszędzie i wszystko tam, gdzie dotąd szkło, celluloid, kazienna, mika, czy żelatyna niewystarczały, lub zawodzą, przewyższając wszystkie znane dotąd przezroczyste materiały swą wytrzymałością na uderzenie i na wysoką temperaturę, przy niezwyklej u tamtych elastyczności, lekkości i zdolności przepuszczenia promieni pozafioletkowych.

Narazie, czekajmy więc na masową produkcję „pollopasu” — a gdy się jej doczekamy — ujrzymy niebywałą wojnę szkła dotychczasowego z nowym wynalazkiem.

WYNALAZKI I ODKRYCIA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

Ukazał się Nr. 3-ci

WARSZAWA, ul. Bracka 18, tel. 112-55
Konto P.K.O. 16050.

Mózg ludzki centralą telefoniczną

Na przełomie XIX i XX stulecia zaczęto posługiwać się naukową metodą przy rozkładaniu kory mózgowej na poszczególne centra.

Pierwszym wynikiem tych studiów było następujące stwierdzenie:

Korę całego prawie mózgu wielkiego można rozczłonkować na siedem głównych warstw, idąc od zewnątrz do wnętrza; a to na podstawie tego faktu, że poszczególne warstwy wykazują znaczne różnice w ilości i w kształcie swych komórek nerwowych. Ten rezultat uwidocznił się na fig. I.

wynik. Lekarz chce leczyć i zapobiegać. Przytem podstawa rozumnej terapii i profilaktyki opiera się na założeniu, że

ten sam proces choroby ciągle się powtarza i że istnieją grupy jednokształtne schorzeń.

Rozpoznawanie choroby nie jest wszakże niczem innym jak zaszeregowaniem do jednej z takich grup chorobowych.

Tymczasem niektórzy psychiatrzy przeczą istnieniu takich grup chorób umysłowych.

dziemy daleko większy stopień jej rozwoju u człowieka.

W końcu, nie pozostały daremnymi badania nad odrębnościami w korach mózgowych różnych ludzi.

mowy w płatach skroniowych. Znajdujemy tu, nieistniejące w innych mózgach, pole specjalne.

Ale nie tylko wielkość i ilość pól korowych zmienia się od osobnika do



POŁA W ODCINKU CZOŁOWYM POŁKULI MÓZGU LUDZKIEGO.

Każda cyfra oznacza osobne pole. Pole 42 stanowi punkt wyjściowy dla dróg woli. Pola 39 i 40 są ośrodkami prostych, a pola 44 do 46 — bardziej skomplikowanych ruchów tułowia i kończyn. Pola 36 do 39 pozostają w szczególnym związku także z chodem wyprostowanym. Pole 44 jest w związku z ruchami przy pisaniu. Podrażnienie prądem elektrycznym pola 41 wywołuje rytmiczne ruchy masykulatory ust i zmiany w oddychaniu. Pole 55 uchodzi za ośrodek dowolnych ruchów głowy przy oglądaniu się dookoła. Pole 56 hamuje ruchy wywołane przez pole 41. Pola 57 do 59 związane są ściśle z mową. Przy innych polach chodzi na razie o czysto anatomiczne rozgraniczenie, występujące u każdego normalnego człowieka. Fizjologiczne znaczenie poszczególnych pól nie zostało jeszcze wyjaśnione.

Zmarły polityk Emanuel Wurm, który zapisał swój mózg dla badań naukowych, wykazuje bardzo słaby rozwój pierwotnego ośrodka wzrokowego. Dzięki temu więcej pozostało miejsca w mózgu jego dla wyższych ośrodków korowych. Tego rodzaju wyższy rozwój wykazał mózg Wurma także w innych miejscach, tak np. we wspomnianej właśnie okolicy

osobnika i stanowi podstawę dla właściwości poszczególnych ludzi, również budowa komórek w poszczególnym polu wykazuje wielkie indywidualne wahania.

Większa ilość zbrodniarzy z urodzenia posiada budowę komórkową stojącą na niższym poziomie niż u pewnych małpi.



Siedm głównych warstw kory mózgu wielkiego przedstawionych plastycznie wedle czynności każdej warstwy z osobna.

Drugim wynikiem było:

W najrozmaitszych okolicach kory mózgowej, zachodzą niespodzianie w każdej warstwie liczne i wielkie różnice miejscowe w budowie komórek.

Do tego przyłączył się trzeci, również nieoczekiwany rezultat.

Zmianie w jednej warstwie korowej towarzyszą zmiany w odpowiednich miejscach wszystkich innych warstw.

Tego rodzaju kombinacja miejscowych zmian obejmuje zawsze pewien obszar kory mózgowej (rozmiar takich obszarów waha się między kilkoma centymetrami kwadratowymi albo jeszcze mniej — a, 30 do 40 cm. kwadratowymi), aby wszędzie na obwodzie nagle zniknąć i ustąpić miejsce nowym kombinacjom szczególnych odrębności w uwarstwieniach.

Obszar, objęty przez poszczególną kombinację, nazywa się polem korowym.

W ludzkiej półkuli mózgowej rozróżniamy dzisiaj wiele setek tego rodzaju pól.

Zastanawiano się dalej, czy wobec tego odkrycia czynnościowych różnic w korze mózgowej nie dałoby się stwierdzić także anatomicznych odrębności przy chorobach umysłowych.

„Choroby umysłowe to choroby mózgu” brzmiał dogmat niektórych psychiatrów. Brakowało dowodu anatomicznego.

Odkrywanie podstaw patologiczno-anatomicznych dla chorób umysłowych udaje się teraz faktycznie w coraz większej mierze. Atoli już dzisiaj usiłowania te dały pewien ważny

„Niemam chorób umysłowych, są tylko umysłowo chorzy jest hasłem tych lekarzy.

„Oto znaleźliśmy — mówi prof. Otto Vogt — że tylko ściśle określone komórki mózgowe (wskutek ich większego narażenia) często podlegają schorzeniu”.

Fakt ten stanowi oczywiście podstawę dla powtarzania się jednokształtnych obrazów chorobowych i umożliwia tworzenie grup, co właśnie uznaliśmy za niezbędny warunek istnienia medycyny racjonalnej.

Studjowanie budowy komórkowej prowadzi nas jeszcze do szeregu dalszych wyników. Pola 36 do 39 na fig. II są u małp razem nie większe niż pole 42. Stosunkowe zwiększenie pól 36 do 39 u człowieka jest zatem czynnikiem specyficznym ludzkim. U małp są to ośrodki dla złożonych ruchów tułowia i kończyn. Stąd wnioskujemy, że ta okolica u człowieka pozostaje w związku z wyprostowanym chodem.

Nadto znaleźliśmy w naszym zbiorze, zniszczonych okolic mózgu wskutek udarów, trzy wypadki, w których nadwyższenie tych właśnie okolic powodowało niezdolność stania i chodzenia, podczas gdy ruchy w łóżku były jeszcze możliwe.

Dalej, wiadomo oddawna, że lewa półkula mózgu sprawniejsza jest od prawej.

I tak część płatu skroniowego lewej półkuli większy bierze udział w rozpoznawaniu słów niż analogiczna część w półkuli prawej. Porównajmy budowę komórkową tej okolicy w prawej ludzkiej półkuli z taką okolicą u szympansa a znaj-

Zamiana królików na foki i gronostaje

Falszowanie futer odbywa się w ostatnich latach na całym świecie — jak powszechnie, że już nikt nie zwraca na to uwagi.

Przyczyną tego masowego falszowania jest zaś moda. Ona nakazuje nosić futra, że zaś zwierzę jest coraz mniej na świecie — przemysł ludzki znalazł i na to sposoby. Trudno przecież dostarczać nieustannie i w nieograniczonej ilości błękitne lisy, sobole, małpy czy gronostaje.

Kuśnierze i ludzie mody wpadli obecnie na pomysł przerabiania zwyczajnych skór króliczych na te drogocenne futra. Jak dalece zaś rozwinął się ten proces falszowania futer dowodem tego fakt, że w samej tylko Francji zabija się rocznie około 40 milionów królików na ten cel specjalnie.

Futra, rzekomo egzotyczne, bywają potem sprzedawane na wszystkich rynkach świata i to... po cenach bardzo wygórowanych.

Jakże się jednak odbywa owo falszowanie skór?

Skórki królicze oddawane najpierw bywają w fabryce do sortowania. Ładne i miękkie skórki moczy się następnie całą dobę w słonej wodzie. Po upływie tego czasu skórki są przerzucane do innej wody ale, już znacznie mniej słonej. Kiedy są już dość elastyczne, czyści się je wodą z mydłem. Znowu wracają do zwyczajnej już wody. Po krótkim czasie, aparaty specjalne wyciskają wodę ze skór, wytłaczają i zmiekkają je.

Teraz następuje drugie stadium pracy.

Oczyszczone i zmiekkzone skórki przechodzą przez kąpiel z kwasu. Kąpiel ta rozszerza pory skór. Pory te bywają potem nacierane alunem.

Trzecim stadium jest teraz osuszanie skór. Są one zawieszane wewnątrz wielkich beczek, które obracają się dookoła swojej osi. Skutkiem silnego przewiewu powietrza skórki mogą wysychać równomiernie i ze wszystkich stron.

Teraz skórki przechodzą do wielkiej pracowni, która musi z nich,

zależnie od chwili, zrobić skórki małego czy sobolowe.

Specjalne maszyny podstrzygają skórki królicze o ile mają naśladować futro krótkowłose, inne pozostawiają. Tu już okazuje cudów spryt i kombinacja kuśnierza — zmienia się kolor skórki, nadaje specjalny połysk, ukrywa jej błędy, czerni i t. d.

Fabryki takie posiadają swoje tajemnice, które oczywiście, w interesie własnym skrupulatnie ukrywają. Najogólniej jednak wiadomo, że połysku nadaje futrom gliceryna, olej bawełniany lub żółtko jajka; że, istnieje ogromna ilość sposobów barwienia futer.

Dochodzi się do tego, że gdy potrzeba białych plam — robi się je pędzlem umieszczonym w hydrosulficie sodu.

Potem idą skórki w świat. Kuśnierz przygotowuje z nich okrycia a... elegancka dama chętnie się, że ma na sobie np. sobole, dlatego... że za nie zapłaciła niemal tak drogo jak prawdziwe...

Nowy rywal glinu

Glin, który dzięki swej lekkości znalazł tyle zastosowań w przemyśle, napotkał na nowego rywala. Jest nim beryl, otrzymywany z odrzucanych dotąd rud, a mający się specjalnie nadawać na szkielety samolotów i statków powietrznych, bloki motorów spalinowych i t. p.

Beryl jest lżejszy o trzecią część od glinu, choć o wiele od niego trwalszy; jest przytem bardziej sprężysty nie tylko od glinu, lecz nawet od stali.

Opiera się on działaniu słonej wody, oraz różnych cieczy i par przeze-rajających większość metali technicznych.

Jest on koloru jasno-szarego i daje się polerować jak stal. Stop złożony z 70% berylu i 30% glinu jest o 1/2 lżejszy od glinu, a o wiele wytrzymalszy od duraluminu, najlżejszego z metali technicznych.

Jak należy leczyć rany?

Leczenie ran jest zagadnieniem bardzo trudnym, przyznają to nawet specjaliści, lekarze - chirurdzy. Ponieważ na dobitkę wszystkiego w wielu przypadkach niema, nietylko specjaliści ale wogóle, jakiegokolwiek lekarza — podajemy kilka zasad postępowania w nagłych wypadkach, bardzo stanowczo podkreślając, że w każdym razie, dalsze leczenie powinno być oddawane lekarzowi.

CO TO JEST RANA I JEJ TYPY.

Rana jest w zasadzie przerwaniem ciągłości naszych tkanek. Pozostawiona sama sobie i bez opatrunku ulega działaniu rozmaitych drobnoustrojów a przynajmniej, podrażnieniom mechanicznym. To powoduje stan zapalny lub zakaźny.

W zasadzie istnieją, ctery, typy rany.

Rana jest świeża w ciągu, przeciętnie 24 godzin; i to jest jej *pierwszy okres*. Po upływie tego czasu, drobnoustroje w ranie zaczynają się rozwijać. Rana przybiera wygląd szklisty a drobnoustroje zaczynają wgrzać się w tkanki. Przepełniona jadowitymi drobnoustrojami zaczyna rana stawać się niebezpieczną i, wówczas wchodzi w *okres drugi*. Taką raną nazywa się *pierwotnie zakażoną*.

Po upływie dalszych 5 — 7 dni rana pokrywa się normalnie czerwoną tkanką i wchodzi w *okres trzeci*. Jest to wówczas rana *ziarninująca*. Ten okres wymaga największej pielęgnacji, gdyż możliwe są w nim powikłania nawet bardzo niebezpieczne. *Okres czwarty* — to okres gojenia się gdy rana pokrywa się *naskórkiem*.

GOJENIE RANY.

Zagojenie się rany polega na wypełnieniu rany przez t. zw. *ziarnicę*, wytworzoną częściowo z dawnych komórek tkankowych ciała, częściowo zaś z komórek wędrowniczych, przyczem ta nowa tkanka musi być pełnowartościowa, naczyniowa i t. d.

ŚRODKI DO LECZENIA RAN.

W zasadzie leczymy ranę w ten sposób, że nakładamy na nią opatrunek, który zmienia się co pewien czas. Można także leczyć rany i bez opatrunku ale, odbywa się to rzadko i tylko za wiedzą lekarza.

Istnieje kilka rodzajów opatrunków: 1) suchy aseptyczny; 2) wilgotny i 3) z maścią.

Niewielkie ranki zalepia się *kolloidum*.

Suchy, aseptyczny opatrunek składa się z 3 warstw a mianowicie: gazy wyjałowionej, która powinna wypełniać ranę, z waty higroskopijnej lub ligniny i opaski.

Opatrunek wilgotny. Składa się z tych samych warstw materiału. Dodatek stanowi tu płyn, którym prześiakieta jest gaza. Opatrunek wilgotny ma na celu rozrzedzić gęstą wydzielinę w ranie i ułatwić jej odpływ.

Przy ranach o mniejszej wydzielinie można dawać na warstwę zmoczonej gazy ceratkę lub papier woskowy, ażeby stworzyć przy okładzie wilgotnym ciepłą komorę nad raną. Najlepiej używać, jak to wskazuje doświadczenie, ceratki podsiarkowanej.

Normalnie, używa się do opatrunku wilgotnego dla ran z gęstą wydzieliną roztworu *fizjologicznego soli kuchennej*, dla ran zakaźnych *hyper-tonicznego roztworu soli kuchennej*. Używa się także czasami wywaru rumianku i płynu Burowa — ten ostatni jest jednak obecnie zwalczany, gdyż uszkadza skórę i drażni tkanki. Opatrunek wilgotny powinien być zmieniany często — skoro tylko wyschnie. Zalecane bywają także opatrunki z roztworów barwników *anilinowych* jak np. błękit metylowy, fiolet goryczkowy lub roztworów

akrydynowych jak riwanol i trypaflawina lub *pochodne organiczne chininy* jak cuktupina lub rozcieńczona wucyna. W ostatnich czasach używany bywa w ranach zakaźnych nowy środek tzw. *antivirus Besrodki*, produkowany w Warszawie i eksportowany masowo nawet zagranicę.

Opatrunek z maścią składa się również z 3 warstw. A więc z gazy oraz maści rozsmarowanej albo na gazie albo ułożonej cienko na ranie.

Maść może być neutralna albo posiadać specjalne działanie. Wśród takich maści istnieją więc takie, które pobudzają tworzenie ziarniny, albo bujanie naskórka, albo wrzście, przyspieszają oczyszczanie ran. Maści takich nie powinno się używać bez przerwy.

Na ranę powinno się kłaść raz na dzień maść obojętną a raz na 4—5 dni maść specjalną. Przy bardzo bolesnych ranach powinno się stosować maści znieczulające a trudno rozpuszczalne.

Można także używać proszków przy leczeniu ran: w celu zmniejszenia ilości wydzieliny lub gdy się chce by powstał strup — dermatolu pudru cynkowego, glinki białej, węgla zwierzęcego. W celu pobudzenia ژی ziarninującej rany proszków higroskopijnych a, na bolesne rany i owrzodzenia ortoformu, anestetyzyny itp. proszków ulegających powoli wsesaniu przez ranę.

SPOSODY ODPROWADZANIA WYDZIELINY Z RANY.

Najważniejszą sprawą przy ranach bywa należyte odprowadzenie wydzielin. Ropa nienależyte wydzielenie powoduje zakażenie, których opatrowanie bywa trudne. Środkami służącymi do odprowadzania wydzielin bywają więc t. zw. *sączki gazowe, dreny zwykłe gumowe, albo kombinacje obydwu tych sposobów*.

Sączki gazowe powinny ciągnąć rzadką wydzielinę z rany do opatrunku — jak knoty lampy naftowej. Przy zmianie opatrunku powinno się wyciągać gazę z rany bardzo delikatnie — nie wyrwać.

Dreny gumowe zakłada się do rany przy wydzielinie gęstej. Przed użyciem powinny być odciekane (5 — 10 min w 3% roztworze karbolu).

Zarówno sączki gazowe jak dreny gumowe powinny być z chwilą spełnienia swej roli szybko wyjmowane, gdyż jako ciała obce w ranie rozrażniają. Używane powinny być bardzo ostrożnie, gdyż obok wielu stron dodanych posiadają równie wiele ujemnych a więc: mogą wywołać niedokrewność, wysuszać ścięgna, naczynia i nerwy a nawet doprowadzić do ich obumarcia.

OGÓLNE WSKAZANIA LECZNICZE

Z raną powinno się obchodzić delikatnie. Przy zmianie opatrunku powinno się usuwać gazę powoli i od brzegów rany, nigdy odrywać. Zdrową ziarninę trzeba pielęgnować, nie wycierać jej, opłukiwać lekko. Ziarninę chorą leczyć należy penicyliną (jodyna, 1% lapis i t. d.) ziarninę wybijającą t. zw. *dzikie mięso* należy od czasu do czasu przypalać lapsem. Rany nie wolno dotykać rękami!

Spokój jest niezbędny przy leczeniu rany choćby dlatego, że ruchy wywołują krwawienie. Nadmierne jednak unieruchomienie chorego wywołuje niebezpieczeństwo zesztywnienia stawów, zanik mięśni, skrzepy, zapalenia płuc i t. d.

RANY — OWRZODZENIA.

Uporczywie niegojące się rany wskutek złego odżywiania wytwarzają się najczęściej na kończynach dolnych na tle żyłaków. Takie owrzodzenia powinno się leczyć przede wszystkim ambulatoryjnie przy pomocy opatrunku krochmalowego ze skleiną Unny lub z wazeliną jałową. Opatrunek powinien być niezdymowany od 8 — 10 dni. Gdyby to nie dało rezultatu trzeba pogodzić się z leczeniem operacyjnym, przeszczepianiem lub leczeniem specjalnym.

Istnieje jeszcze drugi rodzaj owrzodzeń zwany *zgorzelą*. W tym wypadku trzeba opatrować zakażenie i oddzielenie części obumarłych od żywych posługując się środkami wywołującymi przekrwienie. Ale... są to już wszystkie zabiegi dla lekarzy a nie dla zwyczajnego czytelnika.

Nasz krótki rys leczenia ran miał właściwie na celu wykazanie, że leczenie ran jest i skomplikowane i niełatwe a więc, że lekceważyć tego rodzaju ran i postępowania z nimi niewolno.

Zapachy w medycynie

Wiadomo oddawna, że różne gorączkowe choroby różnie pachną i że po zapachu jaki chorzy wydzielają można wiele chorób rozpoznać.

Chorzy na dur plamisty wydzielają woń mysia. Woń ta najsilniejsza jest w szóstym dniu choroby.

W przypadkach błonicy (dyfterytu) daje się odczuwać przy zbliżeniu się do chorego woń zgniło-słodkawa.

Owocową woń acetonu wydają chorzy na cukrzycę.

Przykrą a charakterystyczną woń odznaczają się chorzy na raka w późniejszych stadiach.

Wreszcie znaczenie rozpoznawcze

Prywatne laboratoria badawcze

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej

National Research Council Akademii Nauk w Waszyngtonie zarządziła spis prywatnych laboratoriów, zatrudniających więcej niż trzech pracowników. Ze spisu usunięto te laboratoria, w których praca polega na wykonywaniu robót bieżących, jak sprawdzanie i kontrola materiału.

Wyniki spisu zostały obecnie ogłoszone w broszurze o 117 stronicach druku. Okazuje się, że prywatnych laboratoriów badawczych jest obecnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej około 1000; w 1920 r. analogiczny spis wykazywał około 300.

Największe laboratoria posiada wielka firma Bell w New Yorku; zatrudnia ona około 2000 badaczy, pracujących w różnych dziedzinach telegrafii i telefonii.

Słynne laboratorium General Electric Co w Schenectady posiada personel, złożony z 1 dyrektora, 2 wice-dyrektorów, 42 chemików, 22 fizyków, 40 inżynierów, 260 asystentów — ogółem z 367 osób.

Współzawodniczącą z T-wem Elektrycznym firmą Westinghouse posiada dwa laboratoria: w jednym z nich w Blomfield pracuje 218 osób, w drugim, w Pittsburghu — 75 inżynierów i fizyków.

Znana powszechnie firma Eastman Kodak posiada 80 specjalistów, stale zatrudnionych pracą badawczą.

Widać z tych cyfr jasno, że potęgą przemysłowa Stanów Zjednoczonych ma swe źródło nie tylko w złocie, nagromadzonem podczas wojny, lecz również, a może przede wszystkim, w pracy całej armii badaczy naukowych.

ma zapach płuc u chorych na płuc. Ciężko chory suchotnik wydaje niemiłą słodkawą woń, która źle rokuje. Natomiast kwaśny zapach suchotników pozwala mieć nadzieję wyzdrowienia.

Zmysł powonienia nie jest jeszcze dostatecznie wyzyskany w diagnostyce lekarskiej. A przecież jest to najczulszy nasz zmysł chociaż najbardziej może zaniedbany i — po miastach zwłaszcza — maltretowany.

Czyja glista?

Zabawny proces odbył się w Budapeszcie między dwoma uc. nymi, Dr. Ludwikiem Medelyi i Dr. Imre Bokorem.

Obaj odbywali naukową wycieczkę i znaleźli bardzo rzadki na Węgrzech rodzaj ślepego robaka, glisty, zwanej *Aseus Cavatinus*.

Wkrótce potem dr. Bokor w piśmie naukowym opublikował sprawozdanie z wycieczki w podziemnej grocie, w którym przypisywał sobie odkrycie rzadkiej glisty. Dr. Medelyi czuł się dotknięty i wniósł skargę do sądu.

Podczas rozprawy twierdził, że jakkolwiek dr. Bokor niósł latarnię elektryczną, on był pierwszym, który ujrzał leżące na kamieniu robaka, zbadał go natychmiast mikroskopem i nazwał *Mongolophilum* czyli „Kochanym przez Mongołów”.

Dla rozstrzygnięcia sporu sądy węgierskie wezwały zagranicznych ekspertów.



Patrycjusz Polski w XVII w. w świetle testamentu

(Ze studjów archiwalnych)

Ciekawą kartą w historii obyczajowości życia polskiego patrycjatu XVII-go wieku były pamiętniki i testamenty, które pozostaną na zawsze bardzo cenną puścizną i ważnym przyczynkiem kulturalnym dla tej doby. Nierzadko przez wyblakłe litery pergaminu, od pyłu starości jego istnienia, przeświecała głęboka zrozumienia życia i wiara w potęgę twórczą, która nie opuszczała do ostatniej chwili patrycjusza.

„Naprzód bacząc na to i przed oczyma memi zawsze mając” — czytamy pisane z wielką tkliwością uczuć, i z prostotą słowa testamentu mieszczańska warszawskiego Ziębówicza z 1656 roku — „żem jest jako i każdy człowiek śmierci podległy, a daleko więcej będąc od Pana Boga takową, z której się widzę nie wyłezę złożony i nawiedziony chorobą dla tego aby Ubogi zbiornik mój, który z łaski P. Boga mam lada jako się nie obrócił i marnie nie zginął, kędy mam co proszę aby to tak jako będę powoli diktował było wszystko ponotowane” (Act. offic. consul. civit. a O. ab. an. 1657 ad an. 1662 fol. 9).

Po tym dopiero hołdzie pokory i polecenia siebie i rodziny opiece Boga wyluszczano szczegółowo w testamentie ostatnią wolę. Spisywano ostatnie zlecenie z drobiazgowością. Oznaczano miejsce, gdzie chciałoby się być pochowanym. Jan Trepiński mieszczański warszawski prosi, by ciało jego „w kościele św. Jana przed krucyfiksem Dziadowie pochowali” (fol. 18 ibid.).

Inny, Siedecki poleca, aby zwłoki złożono jego „w grobie Brackim u świętego Marcina” (ibid. fol. 7) — tak samo u św. Marcina i rajca Andrzeja Kostka (ib. fol. 16).

Każdy niemal patrycjusz miał swego uprzywilejowanego patrona, swój kościół, nad którym troskliwszą rozstrząsał opiekę. Opiekę tą poczytywano sobie za zaszczyt nawet i obowiązek chrześcijański. Ostatnią wolę wyluszczano bardzo szczegółowo tak, że nierzadko składa się na nią rozległy traktat. Za modlitwę odprawianą z czasem za duszę nieboszczyka patrycjusz za życia zapisywał pewną kwotę na kościół.

Ławnik Starej Warszawy Gaspary Godlarski wyraźnie zleca w swym testamentie i „przypisuje złotych szesnaście, aby było szesnaście, do Ołtarza Krucifixu Ich Mościów Panów Baryczkow, do tego ornat sprawić czarny, y kielich do tegoż Ołtarza, aby wiecznemi czasami msze dwie bywały na każdy tydzień za zmarłe” (ibid. fol. 40).

Troska o spokój duszy, dbałość o zasobność upodobanego kościoła — jak tradycja przechodziła z pokolenia na pokolenie, w dziejach patrycjatu.

W hojnej ofierze darów jeden drugiego przewyższyc pragnął. Aby ostatnia wola umierającego przypadkiem czy przez złośliwość ludzką, czy chęć zatrzymania wszystkiego przez rodzinę, nie uległa zmianie przestrzegano prawa, formaty testamentu. W testamentie Audikowicza z 1656 r. m. in. czytamy, iż „zastaliśmy chorego na łożu leżącego, lecz na umyśle bardzo zdrowego” (ibid. fol. 33), a zatem prawnie był on sporządzony.

W testamentie takim o każdym pamiętano, nikogo nie pominięto, każdemu coś zapisano stosownie do piastowanych godności w rodzie i zasług, nie zapomniano nawet o maluczkich, którym zgodnie z wolą zmarłego rozdawano pieniądze „koszulę i suknie sprawiano, póki tych pieniędzy stawać będzie” (ib. fol. 10). Ponieważ kosztowności, uzbieranych przez długie lata życia, było wiele, przeto dla

uchronienia wszystkiego od zniszczenia zawczasu składano je do odpowiednich skrzyń, bądź żelaznych bez klucza, „o sześciu ryglach” bądź „dębowych o trzech ryglach w zamku” (ib. fol. 30). Były to skarby bardzo cenne, nie brak było wśród nich rzeczy o kunszcie artystycznym, jak książek oprawnych w aksamit „czerny zgnity y poblesniaty Srebrem oprawne” (ib. fol. 27) lub „w kurz oprawnych srebrem” (ib. fol. 30). Los tych książek był różny, część z nich stanowiła zaczątek wielkiej nierzadko fundacji, część przechodziła do rąk rodziny, czy nawet bibliotek kościelnych.

Ale poza książkami, które zaledwie stanowiły skromną część bogactwo niejednego umierającego patrycjusza, na uwagę zasługiwały wspaniałe guzy złociste dęte czy odlewane (ib. fol. 23) czy „turkusikami” wysadzane (ib. fol. 24), sznury pereł „z kółkami srebrnymi mniejsze y z krzyżykiem mclukim, y z maluskimi sześciu Rubinkami” (ib. fol. 24) bądź „katakuckich” (ib. fol. 24). Wspaniałe delje, żupany, pas jedwabny wiśniowy, czapka aksamitna, „palendranka”, kołdra „kitaikowa stępowana żółta i czerwona” (ib. fol. 38) i t. p. rzeczy przechowywane w wielkiej obfitości dobrze zaświadczają o dobrobycie patrycjatu.

Wiele z tych rzeczy sprzedawano i zgodnie z ostatnim zleceniem obracano na jałmużnę (ib. fol. 41) edukację (ib. fol. 40) i spłacenie długów „Da Piaseczna winienem za trzydziści i sześć garcy Gorzałki prościej po groszy puł piąta”, wzmiankuje w testamentie Godlarski — „Te proszę zapłacić, albo też jeśli nie żyje za Msze Święte za niego dać” za innego znów żołnierza „kiedy miała potrzeba bydz ze Szwedami pod Warszawą dostarczył mi gorzałki i jeśli będzie upominał zapłacić, albo jeżeli go zabito Msze Święte za niego dać” (ib. fol. 41).

Każdy chciał odchodzić ze świata tego z sumieniem czystym, a jeśli za żywota popełnił nietakt czy wyrządził komuś krzywdę, ostatnią wolą testamentu pragnął zmyć ciężar na nim winę.

Pamiętał o rodzinie, żonie, dzieciach, o służbie, o wszystkich co mu wiernie za życia służyli. Dzieciom przykazywał, by pod „Ojcowską y Bożą Bożą” były sprawiedliwe, nie pohańbiły imienia rodzica i jego famy.

Kiedy już wszystko, co miał do powiedzenia w testamentie wyluszczył, oznajmiał wszem i potomnym, iż w katolickiej rzymskiej wierze umrzeć pragnie i w takiej być pochowanym.

Stefan Górzyński.

Jak powstały nazwy wsi naszych?

Sposób, jakim się utworzyły polskie nazwiska wsi, miast i miasteczek, ciekawy jest i ważny z kilku względów. Są to bowiem nazwy naszych siedlisk i domów rodzinnych, a zarazem stare zabytki języka, które posłużyły badaczom przeszłości do wyjaśnienia niektórych dawnych stosunków społecznych i sposobu osiedlania się ludności rolniczej polskiej przed wiekami.

Jeszcze w wieku XII, jak to widzimy z dokumentów, zdarzały się wioski bez żadnej nazwy.

Za doby Piastów powstały wszystkie dzisiejsze nazwy wiosek z końcówką na *ice*. Były to prawie bez wyjątku osady poddanych książęcych, nazywanych w dokumentach *la cińskich* w XII i XIII wieku *incolae*, *homines*, *adscripti*, *mansuarii*, *rustici*, a najczęściej *servi*.

Drugą grupę nazw stanowiły wsie szlacheckie z końcówkami przymiotnikowymi i dzierżawczymi na: *owo*, *ów*, *owa*, *awa*, *in*, *yn*, *usza*, *lna*, *ina*, *ja*, *yca* i *ska*, oznaczającymi, że wieś była czyjąś prywatną własnością.

Wsie szlacheckie nie miały do w. XIII żadnej innej ludności, prócz rodziny szlacheckiej i jego czeladzi.

Gdy biskup obsadził wioskę swymi ludźmi, nazwano i ludzi tych i wioskę Biskupice, Proboszczowice, Mnichowice, wreszcie od dostojników świeckich: Książenice, Podstolice, Komorowice, Chorażyce.

Gęstość wiosek i ustalenie ich nazw sięga w Wielkopolsce i w niektórych okolicach Małopolski odległych czasów.

W przywileju klasztoru tynieckiego z lat 1105—1120, na 15 miejscowości wymienionych w dawnej fundacji Bolesława Chrobrego przetrwało do dziś dnia bez zmiany 11: Tyniec, Kaszów, Czulów, Prądnik, Sydzina, Radziszów, Chorowice, Bytom, Siewierz, Gruszów i Łapczyce. Skoro zaś Bolesław darował te wsie Benedyktynom, musiały już być dawniejszymi osadami. Przywilej gnieźnieński z r. 1136 wymienia około 30 wsi nad rzeką Gąsawą, które składały prowincję gnieźnieńską. Z powyższej liczby Lelewel na dzisiejszych mapach tylko 5-ciu nie znalazł, a z 11-tu wsi wymienionych w prowincji spicymirskiej nie odszukał tylko jednej. Wieś ze szlachecką nazwą Zębocin, sięga wieku X, bo wymieniona jest jako własność Ungera, który był biskupem polskim od r. 982.

Najpóźniej ustalenie nazw nastąpiło na Podlasiu, bo jakkolwiek mamy tam niektóre nazwy istniejące bez zmiany od wieku XIII, to jednak wiele wsi jeszcze w wieku XV kilkakrotnie zmieniano swe nazwiska. Np. wieś Żędziany pod Tykocinem, zmieniając właścicieli nazywała się: Zdrody, Drogwino i Żędziany. Dopiero ta

ostatnia nazwa od szlachty Żędzianów, którzy tu osiedli w połowie V w., pozostała utrwaloną.

Od ludzi zajętych służbą w pewnych osadach, powstały nazwy wiosek: Bartniki, Bartodzieje, Skotniki (dozorcy sokołów myśliwskich), Bobrowniki (dozorcy bobrów), Rybaki i Rybitwy (rybacy), Piekary (piekarze), Kobylniki, Stadniki, Konary (koniarze), Świniary, Owczary, Psary (psiarze), i t. d.

Podobnego rodzaju są i nazwy powstałe z narodowości osadników: Prusy, Włochy, Płowce, Sasy, Pomorzany, wreszcie najpóźniejsze, bo przez kolonistów niemieckich w czasach saskich, licznie na Mazowszu założone, Holendry. Uprawiali czyjaś ziemię położoną za górą, Wysocznany — na wyżynie, Dolany — w dolinie, Brzeżany — na brzegu, Jezierzany nad jeziorem.

Czwartą grupę stanowią nazwy, będące imionami lub nazwiskami ludzi w 1-ym przypadku liczby pojedynczej lub mnogiej. Nazwy te oznaczały wprost ludzi, którzy założyli osadę lub nadali jej pewne znaczenie. Tak mamy utworzone z imion: Szkalimierz (Skarbimierz), Sandomierz, Przemyśl (Przemysław), Kazimierz, Radom (Radomysław), Radgoszcz, Wrocław, Włocławek (Wrocisław), Bydgoszcz (Bytgosł), Zawłochost, Jarosław, Sambor i t. d. W liczbie mnogiej: Bogusze, Bolesły, Bożyny, Wszebory, Tybory, Cibory, Sambory.

W nazwach podobnych przechowywała się pamięćka starożytnych imion parojców naszych, a także wiele ich nazwisk i przydomków użytych w liczbie mnogiej np.: Kruki, Gacki, Kurozwęki, Sikory, Slepowny, Wojny, Zatory, Kossaki, Konopki itd.

Do piątej grupy nazw wiosek zaliczyć trzeba wszystkie pochodzące od położenia topograficznego, od rzek, gór, lasów, drzew, błot, pól, kamieni, rodzaju ziemi, wreszcie wyników pracy ludzkiej. Mamy więc rozmaite: skały, góry, górki, podgórze, zagórze, chełmy, lipniki, brzeże (las brzostowy), świdniki (las świdkowy), Mamy grądy (miejsca suche wśród błot), piaski, gliniaki, suchodoły, kujawy, żuławy, pasieki, osieki, rudy, poręby, gródki, mogiły i t. d. Od nazwy drzewa dębu powstało 50 różnych form nazw miejscowych np.: Dąb, Dąbek, Dęby, Dąbia i t. d. Od wyrazu bór utworzyło się przeszło 30 odmian nazw. Od olchy, lipy, sosny, brzozy, gruszy, jabłoni i brzości, po kilka i kilkanaście. Wielu nazwom dało początek błoto i kał (czyli miejsce błotniste, kałuża). Kał, kałuża jest źródłosłowem starożytnej nazwy Kalisza, o którym wspomina już w drugim wieku po Chrystusie uczony geograf i astronom Ptolemeusz, wymieniając miasto Kalisia, jako stolicę plemienia Ligeów, leżącą na drodze od Karpat do Bałtyku, i naznaczając mu prawie ten sam stopień geograficzny, pod którym leży dzisiejszy Kalisz.

Niekrytyczność sądu, nieznajomość dawnych stosunków, brak pojęcia o słowotwórczości językowej, spowodowały, że w nowszych czasach zaczęto wyprowadzać początek nazw z ich dźwięków i podobieństwa do innych wyrazów.

Np. Cieszyń wywodziło od uciechy, Ilzę od: jej łyzy, Wojnicz od wojny, Bydgoszcz od: obicia gości, Częstochowa od częstego chowania, a nawet w szkołach nauczano w XIX wieku, że Sandomierz, tak nazwany z powodu, że w jego okolicy Sandomierza czyli wpada do Wisły. Wszystkie podobne wywody są wprost nie logiczne.

Najbogatszym zbiorem starych nazw polskich jest obok dyplomaturusów, Liber beneficiorum Długosza z XV wieku.

Oto, jak dokuczano ongiś moźnym tego świata, gdy się zdłużali

Król francuski Karol VII miał tyle długów, iż w pewnym okresie żaden szewc paryski nie chciał zrobić marnsze na kredyt pary butów.

Królowi francuskiemu Ludwikowi XI, nadworny jego krawiec nie chciał robić ubrań, póki mu król nie zapłaci za poprzednie.

Karol VIII, król francuski, zastał u pewnego kupca w Lyonie pięciu swych dworzan.

Henryk IV, król Nawary, tak się zadłużał, iż dostawcy żywności odmówili mu jej dostarczania.

Król Ludwik XV nie wypłacał pensji swym pansom, którzy zmuszeni byli zbierać po mieście, aby „nie zawstydzać króla wytarciem ubranem”.

Król angielski Edward III ogłosił

własną upadłość i doprowadził do ruiny wielu swych wierzycieli.

Napoleonowi I-mu w tym czasie, gdy był jeszcze generałem brygady, odmówił szewc paryski Jorstan kredytu na parę butów.

Za cenę spłacenia długów zaproponował rządowi angielskiemu w roku 1874 Kakoban, król wysp Fidzi, odstąpienie swego tronu.

Zona Napoleona, Józefina nie płaciła krawcowej za toalety.

Filozof Franciszek Bacon nocami tylko ukazywał się na ulicach Londynu, bo w dzień ścigali go wierzyciele.

Walter Scott, jeden z największych powieściopisarzy świata, pozostawił po swej śmierci 650 tysięcy franków długu, a autorowi „Robinzona Kruśa” sprzedano na licytacji meble,

TEREN

CYRANO DE BERGERAC

Autoryzowany przekład L. M.

Wczesnym rankiem okrażono latarnię morską i morze przycichło.

Żółtawe, wiosenne słońce poczęło ogrzewać pokład. W powietrzu rozniósł się zapach mokrych pakul, smoly i świeżego drzewa. Z kajut wysuwali się potrosze wymęczeni całonocną jazdą pasażerowie, przymrużali radośnie oczy i opowiadali sobie dzieje swych drobnych bohaterstw podczas „huśtawki”.

Aktorka Bogradowa, zielona jak otulający ją pled, wyszła na pokład i usiadła plecami do słońca, aby się ogrzać. Czuła się marnie po złe przebytej nocy, miała ochotę popłakać trochę, pożałować się, ale była zupełnie sama.

— I poco pokłóciłam się z generałem? Był co prawda idjota, ale jednak przydałby się podczas tej okropnej podróży.

Bogradowa westchnęła cicho.

— Panno Marychno, Marychno, tra-la-la — zadzwieczał obok niej jakiś męski głos. Młody, czarnooki miczman, zadartszy wysoko głowę, spoglądał na górny pokład, zabawnie podrygując i przebiegając palcami, jakgdyby grał na gitarze.

— No, proszę spojrzeć na mnie, panno Marychno.

Opaliszy opalone rączki o balustradę, wychylała się ku niemu prześlizgnięta dziewczyna, zupełnie jeszcze młodzieńca, w białej sukience z falbankami i w trepkach na bosych nóżkach. Na głowie miała jasną, czerwoną chusteczkę. Z żałowaniem i przekorą zarazem uśmiechała się do chłopca, a chusteczka jej świeciła tak radosną plamą na tle białego kołnierza, że podskoki i bezsensowne piosenki miczmiana zdawały się być zupełnie wytlumaczone.

Marychna, zwinawszy dłoń w trąbkę, zawołała.

— Proszę o dejsz.

Pasazerowie, podniósłszy głowy, spoglądali na nią i uśmiechali się.

— Panno Marychno! Pani jest boginią naszego statku. Wszystkie ryby, na siedem mil wokoło konają z miłości ku pani. Kok twierdzi, że wszystkie są pośnięte. Marychno.

— Proszę odejść!

Zakręciła się na pięcie i uciekła zawstydzona, lecz zadowolona.

— Kto jest ta panienka — spytała Bogradowa. Miczman odwrócił się, przygasił uśmiech i odparł poważnie:

— Córnka kapitana. Mademoiselle Pietuchowa.

Przewalił się zwykły dzień na statku. Dzwoniły szklanki, brzęczały łańcuchy, snuli się z kąta w kąt znużeni pasażerowie.

Czasami tylko czerwieniła na górnym pokładzie czerwona chusteczka.

Bogradowa osłabiona i śpiąca położyła się o siódmej wieczorem, lecz obudziwszy się po godzinie doszła do wniosku, że więcej nie zaśnie. W kajucie było duszno i niemiło. Bogradowa narzuciła szal na szlafrok, włożyła miękkie pantofle i wyszła na pokład.

Noc była cicha, księżycowa. Z podróży żywego ducha, wszyscy spali. Statek sunął poprzez księżyc i morze bezszelestny i biały.

Bogradowa doszła do dzioba. Przeszła zwój lin, minęła szczęśliwie stopy worów i rogoży, gdy nagle, za workami, w samym środku księżycowego światła zobaczyła leżącego człowieka z rozpostartymi rękami i głową odrzuconą w tył. Trup.

Bogradowa krzyknęła i cofnęła się za worki.

— Marychno — zawołał trup. — Nie bój się, poprostu biorę księżycową kąpiel i marzę o pani.

— Nie jestem Marychną — odparła Bogradowa, poznawszy głos młodego miczmiana.

Lecz ten zaśmiał się głośno.

— O Boże, ta mała koniecznie chce mnie zastrygować. Poprostu wyciągnąłbym panią na światło, tylko mi się ruszyć nie chce. Niedługo muszę iść na wartę. Marychno! ja ciebie kocham.

Bogradowa starannie okryła się szalem. Chciała odejść. Lecz, rzecz dziwna, zamiast tego uśmiechnęła się lekko i siadła na rogoży.

— Tak, kocham cię Marychno, ale cóż, masz dopiero siedemnaście lat i jesteś zupełnie głupiotką. Ostatecznie dorośniesz kiedyś, ale czy zmądrzejesz choć trochę?

— Jednak — uśmiechnęła się Bogradowa — w szybkim tempie rozpraszasz się pan ze swoją Marychną.

— Z moją Marychną? Tak, tak, moją jesteś, cóż robić. Znam cię zaledwie tydzień, a chciałbym się żenić choćby dziś. Ale jakże ja cię pokażę, taką, jaką jesteś, mojemu papie i mojej mamie.

Papa mój jest admirałem, a mama — dama w każdym calu z domu baronów Tlichle von Tlichel. Jakże ja im przyprowadzę moją najmiłą kapitanówną?

— Posłuchaj pan! Otóż nie zna mnie pan zupełnie. Przypuśćmy, że jestem rzeczywiście Marychną. Czy sądzi pan, że w ciągu niespełna jednego tygodnia można przejrzeć nawskroś duszę kobiety ze wszystkimi, drzemiąciami w niej możliwościami.

— Ho-ho! Jak to moja Marychna przemówiła! Chodź-no tu do mnie.

— Nie, nie podejdę, a jeżeli zrobi pan choćby najmniejszy krok w moją stronę, ucieknę natychmiast i będzie koniec.

— No, dobrze zresztą, porozmawiajmy tak. Powiedz — czy mogłabyś mnie pokochać?

— Przedewszystkiem, przyjacielu, miłość jest uczuciem względem. Czy rozumiesz mnie? Ja nie tylko, że nie mogę wiedzieć, ale...

— Co, jak pani powiedziała? Słowo daję, myślałem, że to księżyc przemówił. Doprawdy, prawdopodobniejsze byłoby.

— Jeżeli będzie pan drwił ze mnie, zamilknę natychmiast.

— No, proszę się nie gniewać, panno Marychno, ale doprawdy jestem zdumiony.

— Ach, nie bądźmy wulgarni, przyjacielu! Czyż nie odczuwasz jak księżyc gra na strunach twego serca? Jak w moim sercu szumią fale morskie. Bądź cicho, powiem ci cudny wiersz, posłuchaj:

„Miłość jest rozkosznym snem...
Poczem zamilkła.

— Już? — zapytał Kostek.

— Tak — odszepnęła ona.

— A skąd pani zna ten wiersz?

— Czytałam. Kocham wszystko co piękne i słońce i gwiazdy i świat cały — kocham poezję.

— Marychno, Marjo. Proszę podejść bliżej... Czyż mogłem przypuścić.

Usłyszała że się podniósł.

— Ani się pan ważył ruszać, w przeciwnym razie wszystko będzie skończone. Jutro o tej samej porze przyjdzie pan tutaj znowu, ale pod jednym warunkiem: proszę obiecać, że przez cały dzień, ani razu do mnie się nie odezwie, ani też nie da poznać po sobie, że się pan nocą widział ze mną i rozmawiał.

— Przysięgam! Przyjdź tylko! Jestem niewolnikiem pani. Nic nie rozumiem, poprostu jestem skończonym idjotą i... muszę już iść na wartę.

— Niech się pan nie rusza, ja odejdę pierwsza.

— Nic nie rozumiem.

Bogradowa leżąc na swoim hamaku, długo jeszcze uśmiechała się do siebie.

„Poprostu, przez tego rodzaju noce rozmowy doprowadzi go do tego, że rozkocha się na zabój w tej Marychnie i ożeni się z nią wkońcu. Niesłychana przygoda, zupełnie jak Cyrano de Bergerac. Dzięki mojej inteligencji i zdolnościom on się zakocha w Marychnie”.

Bogradowa była zupełnie zadowolona.

Przez cały dzień następny obmyślała coby młodemu człowiekowi jeszcze powiedzieć, co zadeklamować, jak się zachować. Obserwowała czy miczman nie spotyka się z Marychną. Ale nie, miczmaną nigdzie nie było. Marychna zaś cichutko siedziała na górnym pokładzie z książką na kolanach i nie śmiała się zupełnie. Miczman dotrzymywał przyrzeczenia.

O pół do pierwszej w nocy Bogradowa wyszła z kajuty i cicho przemyskując się w cieniu, doszła do wczorajszych worków. Miczmiana nie było jeszcze.

Przeskakując stopy lin, przemknął nagle obok niej Kostek, cały zadyszany.

— Ach, panno Marychno!

— Niech pan siądzie na wczorajszym miejscu i niech się pan nie rusza, bo ucieknę.

— Dlaczego boi się mnie pani, Marychno? Przecież szanuję panią bardzo. Chciałbym przytem rozmówić się dziś zupełnie poważnie.

— Dobrze, i ja będę słuchała zupełnie poważnie.

— Cały dzień myślałem o pani. Widziałem jak siedziała z książką. Jakże ja mogłem myśleć, że jesteś niekulturalną dziewczynką! Ot poprostu młoda, wesoła, a przytem nikt nigdy z paną poważnie nie rozmawiał. Każdy myślał, że jesteś ładną laleczką i koniec. Była pani tak czarująca z tą książką na kolanach. Trochę smutna... Zdawało mi się, że może myślisz o mnie i czekasz na dejścia nocy.

— Zamilcz pan, „myśl wypowiedzienna zawsze jest kłamstwem” — jak powiedział wielki poeta.

— Ukochana, pozwól jednak, że będziemy dziś mówić zwyczajnie. Moi rodzice są zamożni.

— Och, nie, nie. Czyż o tem mamy mówić w chwili, „gdy drżą struny naszych serc”, jak się śpiewa w romansach... Kiedy lśnią gwiazdy na niebie, gwiazdy w morzu i gwiazdy w sercach naszych. Zamilcz pan. Ja — boję się miłości. „Lękam się złotych kajdan”. Ach, nie, nie, zamilcz pan!

— Przecież i tak milczę.

— Co za noc, co za noc! Ukochany... w taką noc! Julja... Pachną pomarańcze i laury... To z Szekspira.

— Jednak gdybyś pozwoliła mi podejść, ujął swą dłoń i powiedzieć...

— Broń Boże! Dał pan słowo.

— Marie, ukochana. Gdy dziś patrzyłem na ciebie, cichutką i miłą z kółkami na kolanach, dopiero zrozumiałem, jak bardzo kocham cię, Marie.

Bogradowa zaniepokoiła się. Rzeczywiście ten idjota gotów się zaraz żenić i wszystko się wyjaśni. A przed nią jeszcze przecież dwie doby podróży, podczas której będzie można poprostu umrzeć z nudów. Jedyną jej rozrywką jest prowadzenie tej gry z miczmanem.

— Marie! Czy chcesz zostać moją żoną?

Jest. Gotowe. I co teraz?

— Mój przyjacielu. Niechże pan tylko nie podchodzi. Jutro przez cały dzień ani słowa, w nocy zaś, na tem samym miejscu powiem panu wszystko. Teraz zaś, zadeklamuję panu cudny poemat, który napisał jeden sławny poeta. Słuchaj pan:

— O gdybyś kiedykolwiek, w najcudniejszych marzeniach...

Powiedziała ten wiersz Byrona i zamilkła.

— Uf — sapnął Kostek.

— Co takiego?

— Niech pani posłucha. Skończmy już z tą literaturą. Jutro o tej samej porze przyjdź pani bez żadnego chowania się — mam tego dosyć, powie mi pani po ludzku, czy chcesz zostać moją żoną. A teraz muszę iść na wartę.

Bogradowa doznała pewnego rozczarowania. — Fi, ordynarny nieuk. Ta idjotka będzie dla niego doskonałą parą. Jednak zrobiłam swoje. Ten młokos pragnie, aby Marychna została jego żoną, ale nie ta Marychna, którą on kocha, lecz ta subtelna i przedziwna istota, którą ja mu pokazałam.

Przez cały dzień Marychny nigdzie nie było widać. Miczman zły i zdenerwowany, nie spoglądał nawet na górny pokład.

Wieczorem, choć było pochmurno i księżyc nie było widać, okryła się jaknajszczelniej szalem i wtuliła głęboko między worki.

Miczman był już na swoim stanowisku; zdaleka rozpoznał jej kroki.

— A, pan tutaj — spytała Bogradowa.

— Droga pani, spieszę się, wlec będę zwięzły. Proszę tylko o jedno: niech mi pani przebaczy i nie gniewa się na mnie i... proszę zapomnieć o wszystkim, co pani naplotłem. Niech mnie pani spokojnie wysłucha. Byłem głupi i po sztabaku w pani zakochany. Ale później, gdy w czasie naszych nocnych spotkań poznałem panią dokładniej, zrozumiałem, że jednak nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Jestem prostym człowiekiem, a w pani jest dużo jakiejś melodeklamacji czy czegoś w tym rodzaju. Rodzice moi są ludźmi dawniejszego pokroju, środki mają skromne i coby pani tam robiła ze swoją nadmierną poetyckością! Ojciec by się jeszcze obraził. Myślałem że jest pani zwykłą dziewczyną, którą trzeba tylko trochę oszlifować... I co najważniejsze, myślałem, że mnie pani bardzo kocha. No, trudno. Tem lepiej. Nie mam przynajmniej wyrzutów sumienia. Nigdy więcej nie wspomnę o tej sprawie w rozmowie z panią, a za tydzień, albo wcześniej, przejdę na inny statek. Żegnaj więc moja najmiłsza, moje najdroższe marzenie, moja Marychno!

— Jakież on ordynarny — myślała Bogradowa, układając się na swoim hamaku. — Gdyby mi się chciało jeszcze rozmawiać z tym idjotą, powiedziałabym mu, kim jestem w rzeczywistości i niechby się ożenił ze swoim głuptaskiem. Ale mi się już to wszystko znudziło, co mnie może obchodzić: czy pobierze się para młodych idjotów, czy nie.

Już zasypiała, gdy nagle, zupełnie niespodziewanie uczuła, że płacze.

Nie wiedziała jednak dlaczego.